W NUMERZE: Wytrwali budują przyszłość ■ Łódź, sierpień 1914 ■ Miasto „lohnwebrów" ■ Korespondencje z zagranicy ■ Moskwa 80 ■ Recenzje

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 30 (1181) ROK XXIII 27 LIPCA 1980 R. CENA 3 ZŁ

Ten stan rzeczy budzi zrozumiałe napięcia...
Foto: R. Łucyszyn

KONRAD FREJDLICH

USŁUGA ZWANA ZDROWIE

Wartość zdrowia zna chyba każdy człowiek i może dlatego, ludzie w białych kitlach, stojący na jego straży, cieszą się tak wielką estymą. Świadczy o tym choćby coroczny nabór kandydatów na studia lekarskie, które choć należą do najdłużej trwających i najtrudniejszych, znajdują od dziesiątków lat licznych entuzjastów i liczba chętnych znacznie przekracza ilość miejsc. W ciągu dwudziestu lat najwyżej wykwalifikowane kadry służby zdrowia podwoiły się: w roku 1960 mieliśmy niecałe 30 tys. lekarzy, dziś jest ich ponad 66 tys. Atrakcyjności tego zawodu nie umniejszyły nawet zarobki, znacznie niższe w służbie zdrowia niż w innych służbach społecznych, bo nawet nie najlepiej opłacana oświata i kultura są pod tym względem uprzywilejowane. Co prawda na niską średnią płacę rzutują tutaj przede wszystkim zarobki najliczniejszej kadry średniego personelu medycznego, ale nawet uwzględniając tę poprawkę można bez ryzyka stwierdzić, że przeciętny lekarz zarabia mniej i awansuje wolniej, niż przeciętny inżynier, a nawet urzędnik średniego szczebla.

Dalszy ciąg na str. 3

NASZE ROZMOWY

NOWE STAWKI CZYNSZOWE

1 sierpnia 1980 roku zostaną wprowadzone nowe stawki czynszowe. W dotychczasowych publikacjach, jakie pojawiały się w prasie codziennej, trudno było znaleźć odpowiedź na niektóre, bardzo istotne dla posiadaczy lokali z tzw. kwaterunku, wątpliwości i niejasności związane z samą opłatą, a także z trybem zgłaszania mieszkań do zamiany. Dlatego też zwróciliśmy się do instytucji, które z urzędu będą zajmować się tą sprawą. W naszej rozmowie udział wzięli: dyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej i Spraw Lokalowych Urzędu m. Łodzi — mgr STEFAN MAJCHERCZAK oraz jego zastępcy: mgr JERZY ANDREJEW i KAZIMIERZ ZWIERZCHOWSKI, a także zastępca dyrektora Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej, mgr inż. WŁODZIMIERZ ZAJDLER.

Dalszy ciąg na str. 4

KAZIMIERZ KOLINKA

40 JUBILEUSZOWY

CZYTAJ STR. 10 i 11

RYSZARD BINKOWSKI

W SIERPNIU ŻNIWA

Mokry, nietypowo deszczowy czerwiec sprawił, że znaczne połacie pól i łąk uległy podtopieniu. Najmniejsze zapadliny i rowy były pełne wody, która nie znajdowała ujścia, stąd nawet ziemie suche, piaszczyste były nasiąknięte ponad miarę. Plantacje ziemniaków na niskich gruntach są całkowicie wymoknięte, to samo dotyczy buraków pastewnych i cukrowych. Poważnie zniszczone zostały niektóre plantacje rzepaku. Dzięki opadom zyskały zboża, ale na wielu polach zboża ozime wyległy wskutek gwałtownej ulewy.

Kwiecień był suchy, trawa nie rosła i „zielone żniwa" przyszły późno, akurat na czas nasilonych opadów. Piszę te słowa 2 lipca, a za oknami ponure niebo, siąpi deszcz. Na łąkach część ściętych traw zabrała nawałnica, a te, które mokną w wodzie na pokosie, i te, których jeszcze nie ścięto, nie będą się już nadawały na karmę. Reszta ciemnieje w zatęchłych kopkach. Mniej wymoknięte siano można by przeznaczyć na kiszonki, ale nie ma pod dostatkiem ani folii ani silosów przewoźnych.

Dalszy ciąg na str. 4

CLARE, TOM I INNI

Korespondencja z Londynu

Jestem umówiona na siódmą wieczór. Drzwi otwiera mi uśmiechnięta dziewczyna. Granatowy kombinezon, tenisówki, złocistoruda trwała do ramion. Ani śladu szminki na twarzy.

— *Margaret, znajoma Edwarda?* — upewnia się. — *Proszę tędy.*

Clare, już wiem, że to ona, prowadzi mnie w dół po schodach. Jak zwykle żarówka automatycznie wyłącza się w pół drogi i z trudem trafiam do drzwi. Wysokie suterены Anglicy przeznaczają na kuchnię i jadalnię. Tutaj urządzono pokój mieszkalny. Jasne ściany bez obrazów, podniszczona, przytulna kanapa, fotele, maleńki stoliczek, biurko. W rogu kolorowy telewizor. Clare, wspólnie z koleżanką, wynajmuje dwa takie umeblowane pokoje. Obok jest kuchnia i łazienka, przez ścianę mieszka kolega ze studiów, a na pierwszym i drugim piętrze jeszcze sześć młodych osób. Tak jest przyjęte. Od rodziców należy się wyprowadzić zaraz po skończeniu szkoły średniej. Zwykle wynajmuje się pokój lub mieszkanie do spółki z kolegą czy koleżanką. Znalezienie locum nie sprawie trudności. Angielskie domy są obszerne, rodziny gospodarzy niewielkie. Często są to starzy, samotni ludzie. Od ogłoszeń mieszkaniowych roi się w prasie i agencjach, które liczą sobie za pośrednictwo 30—40 funtów. Mieszkanie dla dwóch osób można znaleźć już za 30 funtów tygodniowo. Właśnie tyle płacą Clare i Susan, od roku nauczycielki.

— *Uwielbiam szkołę!* — Clare cała się rozpromienia. Potrząsa czupryną i w ciemnym pokoju robi się zaraz słoneczniej od jej złocistorudych włosów. — *Cała moja rodzina składa się z nauczycieli. Widocznie geny zadecydowały o tym, że będę uczyć. Uczę w szkole specjalnej najmłodsze dzieci. Są wspaniałe.*

Susan jest bardziej powściągliwa w reakcjach. Ciemnowłosa i ciemnooka, bardziej przypomina urodą Włoszkę niż Angielkę. Pracuje w szkole podstawowej. Obie mają po 24 lata, pracują dopiero od roku, dobrze więc pamiętają swoje studenckie lata.

Jak dostały się na studia? Powiadają, iż łatwiej zjeść beczkę soli, niż zgłębić angielski system edukacyjny. Polskie publikacje na ten temat, poprzez swą zawiłość, skutecznie ten pogląd utwierdzają. Clare tłumaczy mi więc cierpliwie:

— Szkolnictwo brytyjskie znajduje się częściowo w gestii państwa, częściowo w rękach prywatnych fundacji licznych organizacji społecznych i kościołów. Na kontynencie wiele mówi się o prywatnych angielskich szkołach, które — jak na ironię — noszą nazwę „Public Schools" czyli szkół publicznych. Tymczasem uczy się w nich zaledwie 1 na 40 uczniów a 1 na 1.500 trafia do najsłynniejszej w świecie szkoły dla chłopców w Eton. Podobnie w Oxfordzie i w Cambridge studiuje 12.000 na 250.000 studentów w całej Wielkiej Brytanii. W Anglii, w Walii (Szkocja posiada odrębny system szkolny) bezpłatnym obowiązkowym nauczaniem objęci są uczniowie od lat 5 do 16. Po ukończeniu szkoły podstawowej, 11-letni uczniowie trafiają drogą selekcji, głównie poprzez egzaminy testowe, do licznych szkół średnich, które kończą się egzaminami odpowiadającymi małej maturze. Część absolwentów odpowiednich typów szkół średnich trafia, znów po selekcji, do tzw. klasy szóstej, przygotowującej w ciągu roku do studiów wyższych. Te kolejne selekcje i brak jednolitego, obowiązującego programu nauczania, to pięta Achillesowa brytyjskiego systemu edukacyjnego. Nie można przecież wyrokować o przyszłości dziecka w wieku lat 11. Trudno też pogodzić się z tym, aby uczniowie tych samych klas przerabiali program według osobistego uznania nauczyciela.

Dalszy ciąg na str. 10—11

TOMASZ SOLDENHOFF

SPARTAKIADA MILIONÓW

Korespondencja z CSRS

Raz na pięć lat przez cztery ostatnie dni czerwca cała Czechosłowacja przenosi się na Strahov. Wielki stadion jest wtedy głównym tematem rozmów. Nie schodzi z pierwszych stron gazet. Milion ludzi w ciągu tych dni zasiada na jego trybunach; pozostali — przed telewizorami. Wszyscy chcą zobaczyć swoje żony, matki i dzieci, swych ojców i dziadków, ćwiczących na największym boisku świata.

W ciągu tych dni Praga wzbiera i pęcznieje do niespotykanych rozmiarów. Aż trudno uwierzyć, jak na niespełna pięciuset kilometrach kwadratowych może zmieścić dodatkowych kilkaset tysięcy ludzi.

Czechosłowacka Spartakiada. Niepowtarzalna, jedyna na świecie.

— *I my organizujemy masowe imprezy sportowe* — powiedział dziennikarzom jeden z radzieckich gości — *ale takiej jak praska Spartakiada, z tyloma uczestnikami, jeszcze nie widziałem nigdy. Gdy porównuję jej rozmiary z powierzchnią i liczbą mieszkańców CSRS, muszę przyznać, że jest to naprawdę gigantyczne dzieło...*

Cały rok trwały intensywne przygotowania, w czasie których, jak obliczono, ćwiczył co czwarty obywatel w wieku od lat trzech do osiemdziesięciu. Na sześciuset wojewódzkich, miejskich powiatowych, obwodowych i gminnych spartakiadach wystąpiło ponad osiemset tysięcy ludzi. Najlepsi przyjechali na Strahov.

To są wrażenia, których się nie zapomina — piszą gazety. Niełatwo w to uwierzyć, dopóki nie siedzi się na trybunach strahovskiego kolosa, wśród dwustu tysięcy widzów. Kiedy pierwszego finałowego dnia Czechosłowackiej Spartakiady na boisko wmaszerowały cztery tysiące przedszkolaków i pierwszoklasistów, by przy dźwiękach muzyki i dziecięcego chóru rozpocząć pełne spontanicznej radości ćwiczenia, wielu ludzi na trybunach ocierało łzy.

TRUDNE POCZĄTKI

Dla Czechosłowacji — kraju z niemal 120-letnią, głęboko zakorzenioną tradycją wychowania fizycznego — Spartakiada 1980 była wielkim świętem. Nie tylko sportowym. W tym roku impreza ta stała się kulminacyjną uroczystością obchodów 35-lecia wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej.

Czechosłowackie spartakiady nawiązują do tradycji robotniczego ruchu wychowania fizycznego. Pierwsza spartakiada zrodziła się w trudnych latach dwudziestych, które były okresem zaostrzenia się walki klasowej, narastania fali rewolucyjnej. W 1920 roku — w wyniku rozłamu w łonie lewicy — powstała Czechosłowacka Socjalistyczna Partia Robotnicza. W grudniu doszło do otwartej konfron-

Dalszy ciąg na str. 9

Kronika Kulturalna

— **NA ZORGANIZOWANYM W LOS ANGELES** międzynarodowym konkursie plakatów filmowych polskim grafikom przyznano: II nagrodę w kategorii europejskiej — Waldemarowi Świerzemu ze plakat „Lekcja martwego języka", III — Andrzejowi Pągowskiemu za plakat „Imperium namiętności". Dwa wyróżnienia przypadły: Andrzejowi Pągowskiemu za plakat do filmu „Amator" i Lechowi Majewskiemu do filmu „Gospodarz stadniny". W kategorii specjalnej I nagrodę otrzymał Marek Freudenreich za plakat „Film polski 1954—1979".

— **W GALERII „ATELIER MENSCH"** w Hamburgu czynna była międzynarodowa wystawa „Akt we współczesnej sztuce". Wśród dzieł blisko 100 twórców z szeregu krajów europejskich znalazły się prace 20 plastyków polskich.

NAGRODY prezesa RSW „Prasa — Książka — Ruch" wręczono w Warszawie. Jedną z nagród indywidualnych otrzymał **Henryk Pawlak** — zastępca redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego" — za osiągnięcia we współredagowaniu gazety.

WŚRÓD LAUREATÓW dorocznych nagród województwa sieradzkiego znaleźli się m. in. **Bożena Antoszczyk, Józef Sarosiek, Bożena Sobocińska i Stanisław Klinger** (nagroda zbiorowa za działalność w dziedzinie muzealnictwa, sztuki ludowej i folkloru woj. sieradzkiego) oraz **Józef Nowacki**, artysta plastyk (nagroda indywidualna za osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania plastyki).

TEATR IM. JULIANA TUWIMA wystąpił ostatnio z premierą kabaretu dla... dzieci, zatytułowanego **„Wyprawa do..."**. Premiera uroczego widowiska, obfitującego w liczne atrakcje, którego realizatorami są Tomasz Szymański (inscenizacja i reżyseria), Barbara i Lucjan Zachmocowie (scenografia), Jerzy Sidorowicz (choreografia) i Antoni Gref (muzyka) odbyła się w Małeczu, w ośrodku kolonijnym dzieci pracowników instytucji kulturalnych w Łodzi.

„Wyprawa do..." trafi też na wiele innych kolonii.

TEATRZYK „GONG" Estrady Łódzkiej proponuje na lato „Primadonnę jednego sezonu" (24—27 bm.) i spektakl „Ta zabawa to jest sprawa" (28—30 bm.). Ponadto wystąpi w Łodzi zespół „Happy Family" (d. Happy End" — 30.07.—3.08.), a także Kazimierz Kowalski — na specjalnie dla niego organizowanych koncertach.

POROZUMIENIE z Państwową Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych w Łodzi zawarła Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Lokator". Celem tego porozumienia jest współpraca przy projektowaniu i wykonawstwie drugiego etapu budowy osiedla „Radogoszcz".

* * *

NA MIĘDZYNARODOWYCH TARGACH SZTUKI pod nazwą „ART" w Bazylei, o światowej renomie miejscu ekspozycji sztuki nowoczesnej, znalazły się dzieła artystów polskich. W naszym stoisku, zorganizowanym przez „Ars Polonę", prezentowane były prace: J. ALEKSIUNA, A. BIENKOWSKIEGO, J. BRZOZOWSKIEJ-FLIEGER, ANNY MONIKI CYNKE, J. DOBKOWSKIEGO, A. FAŁATA, J. GAJA, ZOFII GLAZER, EWY KURYLUK, Z. MAGNERA, J. MAZUSIA, A. PIETSCHA, J. PRZYBYLSKIEGO, L. RÓZGI, J. SWITKA i D. WABERSKIEJ.

Niezależnie od własnej prezentacji, pod firmą naszej centrali „Ars Polona", dzieła artystów polskich znalazły się i w ekspozycjach obcych galerii, co oczywiście jest faktem nader liczącym się. I tak, prace WŁADYSŁAWA STRZEMIŃSKIEGO i HENRYKA STAŻEWSKIEGO były prezentowane przez galerie „Bergera" z Kolonii i „D'Edent" z Amsterdamu (w tej ostatniej, obok prac takich twórców jak Picasso, Marin i Miro). HENRYK STAŻEWSKI razem z RYSZARDEM WINIARSKIM byli też wśród artystów eksponowanych przez galerię „Hoffmann" z Friedberga (RFN), przy czym H. Stażewski był także reprezentowany i wśród prac wystawionych przez galerię londyńską „Juda". Dzieła TADEUSZA KANTORA były wystawione przez norymberską galerię „Ricard"; WŁADYSŁAWA SZYSZKI — w galerii „Ninter Art" z Kolonii, a ROMANA OPAŁKI — w ekspozycjach galerii „Walter Storms" z Monachium oraz „Beyeler" z Bazylei (obok prac Picassa, Matisse'a, Legera, Braque'a, Miro.

PLASTYKA I NASZE OTOCZENIE

ROZMOWA Z PREZESEM ZG ZPAP JERZYM PUCIATĄ

XVI Zjazd Związku Polskich Artystów Plastyków, który w połowie maja br. obradował we Wrocławiu, wybrał nowego prezesa Zarządu Głównego ZPAP — Jerzego Puciatę.

— Czy moglibyśmy zacząć od krótkiej prezentacji nowego prezesa?

— Jestem malarzem, absolwentem Wydziału Sztuki Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu, na którym studiowałem w latach 1953—1958 u prof. Stanisława Berezowskiego. Interesuję się też sprawami kształtowania środowiska i upowszechnianiem plastyki. W dorobku artystycznym mam kilkanaście wystaw indywidualnych w kraju i za granicą oraz udział w wielu wystawach sztuki polskiej w świecie, a także w znaczących prezentacjach malarstwa współczesnego w kraju.

— Czy fakt, że mieszka pan poza Warszawą nie będzie utrudniał prowadzenia tej pracy?

— Nie, bowiem daje to dystans i lepszą perspektywę wobec spraw, które dzieją się w stołecznym tyglu. Z pewnością będę musiał więcej niż dotychczas podróżować.

— Jak ocenia pan dorobek Kongresu Upowszechnienia Kultury Plastycznej i Zjazdu we Wrocławiu?

— Kongres, który obradował pod hasłem: „Twórcza rola sztuk plastycznych w duchowym i materialnym rozwoju społeczeństwa" oraz zjazd poruszyły wiele żywotnych spraw dla przyszłości sztuki w Polsce. To szerokie forum, w którym uczestniczyli także wybitni przedstawiciele innych związków twórczych, działacze kulturalni i gospodarczy oraz naukowcy potwierdziło diagnozy i koncepcje wypracowane przez ZPAP. Poprzez spotkanie wrocławskie chcieliśmy m.in. pokazać społeczeństwu jak wielki potencjał twórczy tkwi w naszym środowisku. Chcielibyśmy, żeby był on jak najpełniej wykorzystywany dla potrzeb kraju. Plastyka to nie tylko twórczość w zakresie malarstwa, grafiki, rzeźby, ale również kompleksowe kształtowanie środowiska człowieka — od drobnych przedmiotów po wygląd całych miast. Plastyk powinien i chce być obecny przy formowaniu pełnego ładu, harmonii i estetyki otoczenia, w którym się lepiej pracuje, mieszka i odpoczywa.

— Są to zadania przerastające siły samego środowiska plastycznego...

— Podczas obrad omawiano też formy współpracy z architektami-urbanistami — ponieważ tylko kompleksowa praca może przynosić wyniki.

— A sprawa edukacji plastycznej społeczeństwa?

— To jest podstawowy, najważniejszy etap upowszechniania sztuki. Nasuwa mi się tu proste porównanie. Aby czytać książki, trzeba nauczyć się abecadła; podobnie do odbioru dzieł sztuki niezbędna jest znajomość plastycznego alfabetu.

— Którą ze spraw chciałby pan wziąć na pierwszy ogień?

— Spraw ważnych jest wiele, a zatem będę je musiał prowadzić równolegle. Działać spokojnie, rozważnie i konsekwentnie. Aby podkreślić wielkie znaczenie zagadnienia kształtowania środowiska, szczególną uwagę będę poświęcał tzw. Programowi Wrocławskiemu — dużemu przedsięwzięciu, w którym jednoczą wysiłki plastycy, architekci i socjologowie. Będę czynił starania, aby został określony wreszcie status plastyka wojewódzkiego i miejskiego, którego nie regulują żadne przepisy wykonawcze. Zajmę się też sprawą rad programowych Biur Wystaw Artystycznych, które dawałyby gwarancje właściwego upowszechniania plastyki. ZPAP jest stowarzyszeniem twórczym, które z konieczności podejmować również musi sprawy należące zazwyczaj do sfery związków zawodowych, uwzględnienie w projektach nowych budynków pomieszczeń na pracownie — nasze miejsce pracy, a także o lepsze zaopatrzenie w materiały oraz narzędzia do pracy, jak pędzle, farby, dłuta, papier itp.

Rozmawiał: **MAREK GAJEWSKI**

KONKURS LITERACKI im. WILHELMA MACHA

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy „Gwoźnica" w Rzeszowie ogłasza z okazji swego 20-lecia Konkurs Literacki im. Wilhelma Macha na opowiadanie.

Organizatorzy pragną, aby nadsyłane utwory poświęcone były tematyce konfliktów moralnych i obyczajowych, kształtowaniu wzorców osobowych młodego pokolenia, twórczego zaangażowania w sprawy szkoły, zakładu pracy, miejsca zamieszkania, aby ukazywały rolę młodzieży w budownictwie socjalistycznym w całej jego złożoności.

Przewiduje się następujące nagrody: I — 10.000 zł, II — 7.000 zł, III — 5.000 zł oraz 2 wyróżnienia po 3.000 zł.

Organizatorzy zastrzegają sobie możliwość innego podziału nagród. Udział w konkursie mogą wziąć autorzy nie będący członkami Związku Literatów Polskich. Klub „Gwoźnica" przyzna także nagrodę specjalną w wysokości 5.000 zł dla autora opowiadania ukazującego udział młodych ludzi w kształtowaniu istniejącej rzeczywistości.

Prace konkursowe nie przekraczające 15 stron maszynopisu nadsyłać należy w terminie do 30.08.1980 r. pod adresem ZW ZSMP w Rzeszowie. Każda praca winna być opatrzona godłem.

Na konkurs mogą być nadsyłane prace dotychczas nie publikowane i nie nagradzane w innych konkursach. Liczba prac jednego autora — dowolna. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi do dnia 17.09.1980 r.

Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo druku nagrodzonych prac na łamach miesięcznika „Profile".

„PATRA 80"

Związek Literatów Polskich, Oddział w Rzeszowie i Klub Młodych Pisarzy „Gwoźnica" ogłaszają III Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Patra 80".

Celem konkursu jest uczczenie pamięci Juliana Przybosia, wybitnego poety, syna ziemi rzeszowskiej, umożliwienie młodym poetom debiutu i publikacji.

W konkursie mogą wziąć udział członkowie Korespondencyjnych Klubów Pisarzy, członkowie Kół Młodych przy Oddziałach ZLP, grupy literackie oraz młodzi twórcy nie zrzeszeni w ZLP.

Biorąc udział w konkursie proszeni są o nadesłanie zestawu 3—5 wierszy dotychczas nie publikowanych, opatrzonych godłem — do dnia 30.VIII.1980 roku, pod adresem: Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, plac Zwycięstwa 7, nr kodu 35-002 Rzeszów, z dopiskiem na kopercie „PATRA 80". Do utworów, napisanych w 5 egzemplarzach, powinna być dołączona zalakowana koperta wraz z godłem, zawierająca imię i nazwisko oraz dokładny adres autora nadesłanych prac.

Tematyka utworów jest dowolna. Organizatorom jednak zależy, aby co najmniej jeden z przesłanych na konkurs wierszy zawierał refleksję nad twórczością Juliana Przybosia.

Ogłoszenie wyników nastąpi w ostatnim dniu IX Ogólnopolskiego Konkursu Poezji Współczesnej im. J. Przybosia, który odbędzie się w dniach 2—5. X. 1980 r. „PATRA 80" jest imprezą towarzyszącą konkursowi.

Jury, powołane przez redakcję miesięcznika „Nowy Wyraz" przyzna następujące nagrody:

I nagroda 7000 zł,
II nagroda 5000 zł,
III nagroda 3000 zł

oraz 2 wyróżnienia równorzędne po 2000 zł.

Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału nagród. Ponadto KMP „Gwoźnica" przyzna nagrodę specjalną w wysokości 3000 zł autorowi wiersza zawierającego refleksję nad twórczością Juliana Przybosia, patrona klubu.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Jak było do przewidzenia — konwencja partii republikańskiej dała nominację kandydata na prezydenta R. Reaganowi. Słusznie też, jak się okazało, oczekiwano, że na stanowisko wiceprezydenta kandydować będzie G. Bush, mający opinię bardziej liberalnego, co może zjednać republikanom szerszy wachlarz wyborczy. Ten ostatni fakt nie zmienia generalnego odczucia, że **nad konwencją dominowała konserwatywna frakcja Reagana i jego „filozofia"**, które też wyznaczały kierunek przygotowań do wyborów.

Nawet dobrze zorientowani komentatorzy wyrażają zdziwienie stopniem konserwatyzmu programu republikanów.

Oto niektóre punkty tego programu: zwiększenie wydatków wojskowych w celu uzyskania przewagi militarnej nad ZSRR, prowadzenie rokowań tylko wówczas, gdy USA będą mogły rozmawiać z pozycji siły, zwiększenie wysiłków w celu zahamowania „wpływów komunizmu", powiększenie roli służb wywiadowczych, wzmożenie pomocy dla sojuszników i krajów niekomunistycznych, stworzenie systemu obrony cywilnej przed bronią nuklearną, obniżenie dla koncernów podatku dochodowego...

Warto dodać, że konwencja przebiegała pod hasłem ostrej krytyki administracji Cartera za jej politykę gospodarczą. Reagan oświadczył, że partia republikańska proponuje „gospodarkę opartą na stałym wzroście". Elementy tego kandydat republikanów na prezydenta widzi w redukcji podatków, ograniczeniu sum federalnych i stabilizacji obiegu pieniądza.

Na konwencji szeroko wykorzystano oświadczenie min. sprawiedliwości, że brat obecnego prezydenta — Billy otrzymywał pokaźne kwoty za propagowanie w USA interesów Libii.

Jak się ocenia, sprawa ta może poważnie zaszkodzić Carterowi w wyborze na prezydenta.

Bez nawiązania do omawianego faktu — **E. Kennedy oświadczył, że „nie jest jeszcze za późno"**, aby demokraci zmienili zdanie i jemu, a nie Carterowi, dali nominację na prezydenta. Kennedy ostro zaatakował Reagana za jego program.

Innym wydarzeniem tygodnia jest **powierzenie Zenko Suzuki funkcji przewodniczącego japońskiej partii liberalno-demokratycznej.** Po nieoczekiwanym wyniku wyborów do parlamentu, z którego partia ta wyszła zwycięsko (uzyskała bezwzględną większość głosów w najwyższym organie ustawodawczym), oznacza to automatycznie powierzenie funkcji premiera.

Kim jest Suzuki i co oznacza objęcie przez niego steru rządu?

69-letni Suzuki rozpoczął swą karierę polityczną zaraz po II wojnie światowej jako socjalista. Ale w latach 50 zmienił swą przynależność partyjną. Z ramienia partii liberalno-demokratycznej pełnił funkcję ministra poczty, a znacznie później — ministra rolnictwa.

Na Zachodzie, a zwłaszcza w USA, przyjęto wybór Suzuki z zadowoleniem. Podkreśla się, że oznacza on „łagodne przekazanie władzy" i „stabilizację polityczną" w Japonii. Zauważa się jednakże, iż **obecny przewodniczący partii nie posiada doświadczenia politycznego i nie jest znany w Europie.** Raczej skupi się on na problemach wewnętrznych kraju niż polityce międzynarodowej.

I na zakończenie jeszcze kilka słów o Iranie.

Radio teherańskie podało, że w połowie miesiąca wykryto w **Iranie spisek antyrządowy**, w którym uczestniczyli wyżsi oficerowie. Celem przygotowywanych działań było zaatakowanie siedzib Chomeiniego oraz rządu, a w końcowym efekcie — obalenie islamskich władz. Jest przypuszczenie, że nici spisku prowadzą do stolicy poza oceanem i że swego czasu próba uwolnienia zakładników amerykańskich siłą była zespolona z działaniem ugrupowań przeciwnych Chomeiniemu. Próba ta wówczas nie powiodła się, bo siły wewnętrzne w Iranie nie były jeszcze gotowe.

W. SŁAWSKI

MITOLOGIA GRAJĄCEGO KRĄŻKA

W związku z artykułami pt. „Mitologia grającego krążka" (19 i 20 nr Odgłosów), Departament Teatru, Muzyki i Estrady dziękuje za włączenie się Waszej redakcji do dyskusji nad polską fonografią.

Artykuły te są kolejnym potwierdzeniem naszych niepokojów o stan obecny i perspektywy rozwoju polskiej fonografii.

Wszystkie poruszone przez autora artykułu problemy były przedmiotem dyskusji na Sejmowej Komisji Kultury, podczas Kongresu Upowszechniania Kultury Muzycznej w Warszawie i są obecnie poruszane na posiedzeniach Rady Muzyki Ministra Kultury i Sztuki.

Powołane jesienią 1979 r. nowe kierownictwo „Polskich Nagrań" zobowiązane zostało do przedstawienia do końca września br., w oparciu o opinie ZKP, SPAM, ZLP, SPATiF i ZAKR, raportu o kierunkach rozwoju fonografii w Polsce.

Departament Teatru, Muzyki i Estrady dziękując raz jeszcze Redakcji za wartościowy głos w dyskusji na temat fonografii, pragnie równocześnie poinformować, że zamierza, przy okazji posiedzeń Rady Muzyki poświęconych tej problematyce, wykorzystać opinie waszych przedstawicieli oraz będzie się zwracać z prośbą o konsultacje w związku z oceną i opracowywaniem programu działania „Polskich Nagrań".

Dyrektor Departamentu
Krystyna Weremowicz

POTOP NA RETKINI

W związku z artykułem krytycznym pt. „Potop na Retkini" zamieszczonym w numerze 33 „Odgłosów" z dnia 8. 06. 1980 r. Centrala Państwowego Zakładu Ubezpieczeń uprzejmie wyjaśnia, iż obecnie trwają prace nad zmianą norm wyceny szkód powstałych w wyniku zalania lokali mieszkalnych.

Nowe normy wyceny opracowane w oparciu o cennik usług remontowo-budowlanych, opracowany przez PKC, który wszedł w życie z dniem 1. 07 80 r. i obowiązuje na terenie całego kraju — pozwoli na pełniejsza rekompensatę strat poniesionych wskutek zalania.

Jednocześnie informujemy, że ubezpieczenie mieszkaniowe cieszy się dużą popularnością, a ilość mieszkań objętych ubezpieczeniem systematycznie wzrasta.

Państwowy Zakład Ubezpieczeń Biuro Ubezpieczeń Majątkowych inż. Stanisław Kado, Jakub Rosiak.

WYJAŚNIENIE

W związku z notatką zamieszczoną w numerze 16 „Odgłosów" z dnia 20 kwietnia 1980 r. krytykującą zbyt długie terminy wyznaczane chorym zgłaszającym się do prześwietlenia przewodu pokarmowego, Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi czuje się zobowiązany do złożenia następującego wyjaśnienia:

W ostatnim okresie niedobór niektórych materiałów potrzebnych do wykonywania badań rentgenowskich, był przyczyną zakłócenia normalnego toku pracy większości naszych pracowni rentgenowskich. Szczególnie dotkliwie odczuwano brak papki barytowej i niedobór dużych błon rentgenowskich. Należy tu podkreślić, że niewielki posiadany zapas tych materiałów został zarezerwowany dla osób, u których niewykonanie badania mogłoby mieć poważny wpływ na dalszy tok leczenia.

Natomiast chorzy, których stan zdrowia nie wymagał szybkiego badania lub których schorzenie mogło być rozpoznane bez ich wykonania, byli często wyznaczani do badań w dalszych terminach.

W chwili obecnej sprawa ta uległa poprawie. Pracownie rentgenowskie otrzymały pewną ilość papki barytowej i niezbędny przydział błon rentgenowskich tak, że obecnie u chorych nie wymagających pilnych badań są one wykonywane w terminach nie przekraczających kilku dni.

Informując o powyższym Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi pragnie podziękować Redakcji „Odgłosów" za podkreślenie trudności jakie napotykają mieszkańcy naszego miasta korzystający z usług służby zdrowia.

Z-ca dyrektora wydziału d/s lecznictwa
lek. Bolesław Filipczak

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

NASZE SPRAWY

USŁUGA ZWANA ZDROWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Tymczasem jednak, mimo imponującego wzrostu szeregów pracowników służby zdrowia (w ciągu dwudziestu lat liczba pielęgniarek wzrosła niemal trzykrotnie — jest ich dzisiaj ponad 162 tys., farmaceutów prawie dwukrotnie — mamy ich obecnie ponad 16 tys.), nie nastąpiła odczuwalna poprawa sytuacji pacjenta. W przychodniach, przed gabinetami specjalistów, dalej tworzą się ogromne kolejki, łóżek szpitalnych mamy wciąż za mało w stosunku do potrzeb, w aptekach obserwujemy ogonki, a na domiar złego brakuje wielu podstawowych leków. Ten stan rzeczy budzi zrozumiałe napięcie, za które zbiera nie zawsze zasłużone cięgi właśnie służba zdrowia, zaharowana jak przed laty, bo wzrost jej kadr zniwelowało rozszerzenie ubezpieczeń społecznych na niemal wszystkich obywateli PRL. Nie znaczy to oczywiście, że samo środowisko medyczne, mimo wielu bezspornych osiągnięć polskiego lecznictwa, jest zadowolone ze swej pracy. Jeden z Okręgowych Rzeczników Dobra Służby Zdrowia dr **Ryszard Machnikowski** jest zdania, że lecznictwo za dużo wzięło na swoje barki, bez obiektywnych możliwości prawidłowego wykonania swoich zadań.

— Nie jesteśmy zdolni — stwierdza — **w pełni zaspokoić społecznych potrzeb, mamy bowiem ciągłe niedobory. Nie jesteśmy także w stanie w pełni rozwiązać spraw terapii ze względu na brak leków.**

Rzecznicy Dobra Służby Zdrowia to społeczni oskarżyciele w sprawach o wykroczenie zawodowe; funkcja może zaszczytna, ale bardzo niewdzięczna i odpowiedzialna. Stoją oni na straży dobra pacjenta oraz nienaruszalności zasad etyki, sumienności i godności zawodowej środowiska medycznego. Współzależność ta jest oczywista, zwłaszcza w świetle braków naszego lecznictwa, które są głównym źródłem konfliktów. Ale nie tylko one, o czym przekonują dowodnie dokumenty Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej w Łodzi, obejmującej swym zasięgiem nie tylko województwo miejskie, ale także piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie. Na jej czele stoi doc. dr med. **Zofia Olszewska.** Chociaż, jak podkreśla w rozmowie z dziennikarzem, wiele pretensji w stosunku do lekarzy jest po prostu niesłusznych. A komisja zajmuje się przede wszystkim błędami w sztuce lekarskiej. Personel medyczny też popełnia błędy, ale ich skutki dla zdrowia pacjenta są zazwyczaj mniej groźne niż błąd lekarza.

A dr **Machnikowski** dodaje:

— Służba zdrowia nie może być traktowana jako oaza społeczeństwa, jest przecież produktem ogólniejszych stosunków. Spełnia szczególny rodzaj usług, ratuje życie i ochrania zdrowie, a trzeba sobie powiedzieć, że w Polsce jest w ogóle niski poziom usług. Na tę ogromną liczbę kontaktów społeczeństwa ze służbą zdrowia (drugie miejsce w kraju, zaraz po handlu) liczba pretensji do nas jest stosunkowo znikoma. Choć trzeba pamiętać, że mamy zawsze do czynienia z człowiekiem chorym, którego wrażliwość na wszelkie nieprawidłowości jest znacznie większa niż w wypadku ludzi zdrowych.

To jedna z przyczyn, dla której służba zdrowia znajduje się na cenzurowanym. Druga, to tradycja polska, która przypisuje, lekarzowi przede wszystkim, właściwości nadludzkie, lokując go gdzieś między ofiarnikiem a świętym. Przyczyniła się do ukształtowania tego stereotypu głównie literatura, zwłaszcza twórczość Żeromskiego, którego Judym stał się idealnym wzorcem osobowym funkcjonującym do dziś w świadomości społecznej, mimo oczywistej anachroniczności tej postawy w nowych warunkach społecznych. Za ten wyidealizowany obraz służba zdrowia płaci ciężki haracz. Nie tak dawno całą Łódź obiegła plotka o handlu zwolnieniami lekarskimi, jakiego miano się dopuścić w jednej z przychodni. Padały cierpkie słowa. A jak się rzecz miała naprawdę, mówi informacja PAP, którą warto chyba zacytować w całości:

Przed sądem rejonowym w Łodzi odbył się proces przeciwko Maciejowi Janasikowi, oskarżonemu o wystawianie fikcyjnych zwolnień lekarskich. Jako felczer-rencista dysponował on pewną ilością zabranych bezprawnie z b. miejsca swej pracy druków L-4, które wykorzystywał do wystawiania ponad 30 fałszywych zwolnień z pracy, czerpiąc z tego korzyści majątkowe. Skazany został na 3,5 roku pozbawienia wolności, 25 tys. zł grzywny oraz 5-letni zakaz wykonywania zawodu. Wobec wszystkich, którzy korzystali z tych zwolnień, toczy się postępowanie karne.

Doc. dr med. **Zofia Olszewska** jest zdania, że ze względu na szczególny rezonans społeczny, o sprawach wykroczeń zawodowych w służbie zdrowia powinno się pisać jak najmniej, albo nawet nie pisać wcale. Można zrozumieć intencje prezesa Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej, który też uległ presji literatury i ciężko przeżywa każdą skazę na wyidealizowanym obrazie. To prawda, że rezonans społeczny wszelkich nieprawidłowości pracy służby zdrowia jest większy niż w innych sferach życia społecznego, ale chyba jeszcze niebezpieczniejsza jest plotka.

Spójrzmy więc na pracę służb medycznych surowo, ale sprawiedliwie, poprzez pryzmat spraw, którymi zajmowała się Komisja Kontroli Zawodowej przy prezydencie miasta Łodzi. Właśnie niedawno zakończyła się czteroletnia kadencja jej działalności, są więc materiały na ogólniejsze wnioski. Nawet na ten, informacyjnej natury, który w analizie działalności Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej w Łodzi sformułowała doc. **Olszewska:**

„W okresie sprawozdawczym liczba wniosków o ukaranie nie ulegała wyraźnym zmianom. Na 80 wniosków w latach 1976—1979 najwięcej, bo 32 dotyczyło województwa miejskiego łódzkiego, co się wiąże z największą liczbą zatrudnionych fachowych pracowników medycznych na tym terenie w stosunku do pozostałych trzech województw. Należy podkreślić, że po wnikliwym rozpatrzeniu 80 wniosków o ukaranie — 32 osoby zostały uniewinnione.

Nie jest to wiele, zważywszy, że w naszym tylko łódzkim województwie miejskim pracuje ponad 3700 lekarzy i 7000 pielęgniarek. W województwie piotrkowskim kadry służby zdrowia liczą blisko 700 lekarzy i ponad 2000 pielęgniarek, w skierniewickim odpowiednio ponad 500 pracowników o kwalifikacjach najwyższych i blisko 1500 średniego personelu medycznego, w sieradzkim sytuacja przedstawia się niemal podobnie. Mamy więc do czynienia z armią ludzi, z których tylko nieznaczny odsetek i to na przestrzeni czterech lat dopuścił się uchybień zawodowych. A więc ze statystycznego przynajmniej punktu widzenia służba zdrowia, oglądana w krzywym zwierciadle przewinień, daleka jest od doskonałości, ale pod względem sumienności zawodowej lokuje się na jednym z najwyższych miejsc w kraju. Około pięćdziesiąt przypadków nagannych zachowań w ciągu czterech lat i to w skali czterech województw daje średnią, o jakiej tylko mogą marzyć inne grupy zawodowe. A przecież ten optymistyczny obraz rozmija się z odczuciami ogromnej większości nawet zdrowych obywateli, których kontakt ze służbą zdrowia jest sporadyczny, z okazji jakichś profilaktycznych czy kontrolnych badań. Zbyt często mamy do czynienia z opryskliwą rejestratorką, z obojętną dyspozytorką pogotowia ratunkowego, z salową nachalnie wyciągającą rękę po napiwek, z pielęgniarką nie reagującą na dzwonek, z lekarzem, który się spóźnił do przychodni albo nie przyszedł wcale. Nie należą te zjawiska zapewne do wykroczeń fachowych, ale są wykroczeniem przeciw dobrym obyczajom i zwyczajnie psują krew. I ma chyba rację dr **Machnikowski,** kiedy twierdzi, że wielu z tych incydentów można by uniknąć, gdybyśmy więcej wymagali od kadr kierowniczych.

Sprawy, które rozpatrywała Komisja Kontroli Zawodowej w Łodzi, są niezwykle trudne już nie tyle z fachowego, ile z etycznego punktu widzenia. Kiedy mamy do czynienia z przypadkiem tak oczywistym, jak pobieranie przez lekarza, będącego członkiem komisji poborowej, pieniędzy za zwolnienie od służby wojskowej, to sprawa jest oczywiście jasna. Ale już znacznie trudniej zakwalifikować postępowanie lekarza, który nie prowadzi często do nieodwracalnych skutków.

Komisja Kontroli Zawodowej często spotyka się z podobnymi sprawami. Dość wspomnieć o przypadku nieprawidłowego leczenia pacjenta z nowotworem krtani, który został inwalidą, co pociągnęło za sobą odpowiedzialność dwóch laryngologów. Wprawdzie jeden z nich został uniewinniony w toku wnikliwego postępowania, ale drugi otrzymał upomnienie, które jest dla lekarza karą bardzo surową. Niestety, najwięcej przewinień dotyczy właśnie naruszania sumienności zawodowej, nie tylko przez lekarzy, którzy są najbardziej narażeni na ten zarzut, ale także przez personel średni. Pamiętamy wszyscy jeszcze nieszczęśliwy wypadek w jednym z łódzkich szpitali, który spowodował śmierć dwóch pacjentek, kiedy to jedna z pielęgniarek podała pomyłkowo w kroplówce zamiast płynów infuzyjnych benzynę pozostawioną przypadkowo na oddziale w identycznym opakowaniu. Są to sprawy wyjątkowo rzadkie, ale postęp cywilizacyjny, rozwój nowych, coraz bardziej skomplikowanych technik stwarza potencjalne zagrożenie i stawia środowisku medycznemu coraz wyższe wymagania. W jednym ze szpitali, mówił o tym lekarz wojewódzki dr **Jan Matczak** na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej przy prezydencie Miasta Łodzi — zginął na stole operacyjnym człowiek porażony prądem na skutek uszkodzenia kabla.

Mniejszy odsetek spraw trafiających do komisji stanowią przypadki niewłaściwego odnoszenia się do chorych albo ich rodzin. Myślę, że spraw tych w rzeczywistości jest więcej, choć nie zawsze dochodzą do wiadomości organów kontrolnych, zresztą ich waga nie jest tak wielka. Ale w ogólnym rachunku także rzutują na jakość usługi zwanej zdrowie zatruwając i tak już, wobec znanych braków, nie najlepszą atmosferę. Walka z tymi defektami jest jednak szczególnie trudna, gdyż należą one do sfery dobrych obyczajów i kultury osobistej, a tych nie da się zadekretować choćby najsurowszymi zarządzeniami.

Osobne miejsce w orzeczeniach komisji stanowią sprawy wydawania zaświadczeń o czasowej niezdolności do pracy za osiąganie nielegalnych korzyści materialnych. Rozpoznawała ona sześć takich klasycznych przypadków, nie zawsze zresztą potwierdzonych dowodami, ale już same sygnały o podobnych zdarzeniach muszą budzić niepokój opinii publicznej. Zwłaszcza, że niekiedy komisja miała do czynienia z ewidentnie fikcyjnymi wpisami do historii choroby i wnioskami o przedłużenie zwolnienia do Komisji Lekarskiej bez badania chorej. Równie niepokojące są sygnały o wypadkach uzależniania leczenia w zakładach służby zdrowia od korzyści majątkowych lub też tylko przyjmowanie tych korzyści. Spraw tego rodzaju komisja rozpatrywała także sześć, są one także ogromnie trudne dowodowo i zarzuty potwierdziły się tylko w jednym przypadku, za co lekarz pozbawiony został na jeden rok prawa wykonywania zawodu. Był to zresztą odosobniony przypadek wymierzenia przez komisję kary najsurowszej, przy zbiegu innych, równie poważnych wykroczeń. A trzeba przy tym pamiętać, że skazanie przez Komisję Kontroli Zawodowej nie ma wpływu na odpowiedzialność karną czy cywilną obwinionego, która istnieje niezależnie. Świadczy to o tym, że środowisko medyczne samo dąży do oczyszczenia kierując się wskazaniami etyki zawodowej, które nie zawsze muszą się pokrywać z normami prawa, najczęściej bowiem dotyczą rozleglejszych obszarów życia i działań. Szkoda jednak, że sięga po przysługujące mu środki stosunkowo rzadko, że większość niepokojących sygnałów docierających do Rzecznika Dobra Służby Zdrowia pochodzi z urzędu prokuratorskiego. Stępia to nieco wychowawcze oddziaływanie orzeczeń Komisji Kontroli Zawodowej.

W środowisku medyków mówi się o wymieraniu wielkich indywidualności lekarskich, za którymi obok ogromnej wiedzy fachowej stał niezaprzeczalny autorytet moralny. Tego autorytetu nie są zdolne stworzyć, choćby nawet pracowały jak najlepiej, organy administracji i kierownictwa placówek służby zdrowia. Dlatego też musi niepokoić, że w akademiach medycznych tak niewiele uwagi poświęca się deontologii lekarskiej, która od czasów Hipokratesa waży niemal tyle samo w stosunkach z pacjentem co wiedza fachowa. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że przygotowanie zawodowe to po prostu jedna z powinności lekarskich, konieczna, ale nie wystarczająca do tego, aby usługa zwana zdrowie przyczyniała się także do umacniania zdrowia społecznego.

KONRAD FREJDLICH

Z ARCHIWÓW

MIASTO „LOHNWEBRÓW"

W tym roku Konstantynów Łódzki obchodzi 150 rocznicę nadania mu praw miejskich. Przywilej ten osada otrzymała postanowieniem Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego, powziętym dnia 31 sierpnia 1830 roku.

Miasto założone zostało na terenie Żabic Wielkich. Wieś ta w odległej przeszłości musiała odgrywać ważniejszą rolę, o czym wnioskować by można z istnienia na jej gruntach grodziska wczesnodziejowego. Właściciel posiadłości ziemskich, w skład których wchodziły Żabice, Mikołaj Krzywiec-Okołowicz, za przykładem założyciela Aleksandrowa, Rafała Bratoszewskiego, zapragnął nadać wspomnianej wsi charakter osiedla fabrycznego. Kierując się tym postanowieniem zaofiarował osadnikom niemieckim bezpłatne grunty pod budowę domów, jednakże dopiero w 1816 roku przybyło do Żabic kilku sukienników z Ozorkowa. W dwa lata później, tj. w 1818 roku osiedliła się tu liczniejsza grupa sukienników z Niemiec. Jeden z nich, Gotfryd Wende, w nowo powstałej osadzie założył pierwszą fabrykę sukna.

W lutym 1821 roku Okołowicz zawarł umowę osiedleńczą z czterema fabrykantami sukna z Ozorkowa, która stała się kamieniem węgielnym osady fabrycznej nazwanej Konstantynowem. Nazwę tę nadano osiedlu na cześć brata cara Aleksandra I, wielkiego księcia Konstantego, naczelnego wodza wojsk polskich. Założyciel Konstantynowa zapewne liczył na wysoką protekcję i rychłe przyznanie praw miejskich osadzie. Nastąpiło to jednak dopiero po dziewięciu latach.

Zgodnie z zamierzeniami Okołowicza, na terenie Żabic wydzielono 150 działek osadniczych. Każdy z osadników otrzymywał dwie morgi gruntu. Nadto dziedzic zwalniał ich przez sześć lat z opłaty czynszu. Zapewniał on także przybyszom przydział drewna na budowę domów. W myśl życzeń imigrantów, przyobiecał również pomoc finansową w budowie kościoła ewangelickiego i szkoły.

Według danych z 1822 roku w Konstantynowie czynnych było 48 warsztatów sukienniczych, zatrudniających 74 majstrów i czeladników. Po sześciu latach nastąpił czterokrotny wzrost liczby zainstalowanych warsztatów. Obok sukiennictwa począł się tu także rozwijać przemysł bawełniany i lniarski. Raport rządowy z 1824 roku stwierdził, iż w osadzie zamieszkiwało 50 tkaczy bawełnianych i płóciennych którzy zatrudniali 50 czeladników.

Wydarzenia powstania listopadowego przyhamowały na pewien czas rozwój Konstantynowa. Obszerne sprawozdanie komisarza fabryk Województwa Mazowieckiego, Benedykta Tykla, sporządzone z jego podróży inspekcyjnej w 1832 roku stwierdzało, że „w Konstantynowie panuje w dalszym ciągu zastój, który dla przyszłości miasta może odbić się niepomyślnie". O rozmiarach regresu gospodarczego, jaki wówczas dotknął miasto, świadczy najlepiej fakt, że po ogłoszeniu ukazu carskiego, przyznającego wiele ułatwień przesiedleńcom do Rosji, w ciągu niespełna miesiąca zgłosiły się do wyjazdu z Konstantynowa 132 rodziny tkaczy, liczące 692 osoby. Stanowiło to około 20 proc. zaludnienia miasta.

W latach późniejszych, pomimo występujących nadal trudności, zaszła pewna poprawa w położeniu gospodarczym Konstantynowa. Nabrał on wyglądu miasta fabrycznego. Urzędowa ankieta, sporządzona w 1860 roku przez ówczesnego burmistrza Konstantynowa, Wawrzyńca Majewskiego, przedstawia stan miasta na kilka lat przed powstaniem styczniowym. Konstantynów liczył wtedy 3288 stałych mieszkańców i około 400 zameldowanych czasowo. W wielonarodowym mieście przeważali Niemcy, którzy stanowili blisko 58 proc. ogółu mieszkańców. Żydów było 25 proc., a Polaków zaledwie 17 proc.

Konstantynów rozbudował się głównie wzdłuż traktu wiodącego z Brzezin przez Łódź do Lutomierska. W 1860 roku miasto posiadało dwa rynki; jeden, leżący na skrzyżowaniu dróg, zwano Rynkiem Zwyczajnym (dziś plac Kościuszki), drugi zaś — Rynkiem Wielkim (plac. Wolności). Rynek Wielki, bogato zadrzewiony, spełniał funkcję parku miejskiego. W czasie lata odbywały się tu zabawy publiczne. W mieście było pięć ulic: Łódzka, Zgierska, Łaska, Pabiańska i Długa (obecnie im. 19 Stycznia). Ta ostatnia stanowiła kręgosłup miasta. Bruki posiadał jedynie Rynek Zwyczajny oraz część ul. Długiej, reszta miasta była niezabrukowana. W Rynku Zwyczajnym znajdował się kościół katolicki, niedawno wzniesiony, zaś przy ul. Długiej — kościół ewangelicki zbudowany w 1832 roku. Obydwie świątynie były murowane.

W mieście przeważała drewniana zabudowa. Spośród 263 budynków mieszkalnych tylko 4 były murowane, w tym jeden piętrowy, reszta zaś parterowa Z urządzeń komunalnych funkcjonowały jedynie jatki rzeźniczo-piekarskie. Konstantynów — pomimo obietnicy uczynionej przez Mikołaja Okołowicza — nie otrzymał ratusza. Aktualny właściciel miasta, Karol Glatz, nie kwapił się także z budową siedziby władz miejskich, gnieździły się więc one w odnajętym pomieszczeniu.

Edukacją dzieci konstantynowskich zajmowały się dwie szkoły elementarne, katolicka i ewangelicka. Opiekę zdrowotną nad mieszkańcami sprawowało 3 cyrulików i 3 akuszerki. Po lekarstwa jeżdżono do łódzkich aptek. Przez Konstantynów przebiegał trakt pocztowy z Łodzi do Lutomierska, ale najbliższa stacja pocztowa znajdowała się w Łodzi. Dla wygody podróżnych w Konstantynowie mieścił się zajazd. Była tu także kawiarnia i 9 domów szynkowych, pełniących zarazem rolę sklepików spożywczych.

Ogromna większość mieszkańców Konstantynowa pracowała w przemyśle włókienniczym. W 1860 roku były tu czynne 763 krosna bawełniane, dające zajęcie około 800 tkaczom ręcznym. Zakłady wełniane zatrudniały 140 robotników. Jedynym przedsiębiorstwem zmechanizowanym w Konstantynowie była przędzalnia i wykończalnia Gotfryda Wendego, wyposażona w maszynę parową o sile 10 koni mechanicznych. Zakład ten usytuowany na zachodnim krańcu miasta, nad rzeczką Jasieńcem, dopływem Neru, zatrudniał około 100 robotników. Warto nadmienić, że Wende w tym czasie zainstalował w swojej fabryce pierwszy w Królestwie Polskim warsztat mechaniczny do produkcji trykotu

Pewna część mieszkańców Konstantynowa znalazła zajęcie w handlu i rzemiośle. W handlu dominowali Żydzi. Rzemiosło zrzeszone było w 8 organizacjach cechowych, wśród których do znaczniejszych należały cechy szewski i krawiecki. Życie towarzyskie miejscowej ludności skupiało się przeważnie w organizacjach cechowych i niezmiernie popularnym Zgromadzeniu Strzelców Tarczowych.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku w przemyśle konstantynowskim dokonał się ważny proces, decydujący o przyszłych losach Konstantynowa. Ówczesne trudności surowcowe i kredytowe sprawiły, że samodzielni dotąd tkacze popadli w zależność od zamożnych kupców i przedsiębiorców z Łodzi. „Fabryki wyrobów bawełnianych i półwełnianych — pisał burmistrz Konstantynowa w 1865 roku — podobnież jak w roku zeszłym w nie najlepszym znajdują się stanie, czego powodem jest głównie trzymająca się w wysokiej cenie bawełna, skutkiem czego wielu mniejszych fabrykantów, na siebie zakłady utrzymujących, prowadzenia ich zaniechali i obecnie dla innych znaczniejszych pracują". Konstantynów nie przełamał już tych trudności; stał się miastem, którego tkacze pracowali w systemie nakładczym dla łódzkich kupców i przemysłowców. Tkaczy takich zwano z niemiecka „lohnwebrami".

W 1870 roku Konstantynów utracił prawa miejskie w ramach ogólnej akcji likwidacji małych ośrodków miejskich w Królestwie Polskim i włączony został do gminy Rszew. Pomimo degradacji rozwijał się on nadal, ale już w ścisłej zależności od Łodzi. Zacieśnieniu stosunków z Łodzią sprzyjał zbudowany w 1862 roku trakt bity Konstantynów — Łódź, jak również przeprowadzona wzdłuż tego traktu w 1910 r. linia tramwajowa.

Wspomniane inwestycje komunikacyjne przyczyniły się do wzrostu aktywności gospodarczej miasta „lohnwebrów".

W przededniu pierwszej wojny światowej Konstantynów liczył już 12.500 mieszkańców. W mieście czynnych było 15 niewielkich zakładów włókienniczych, zatrudniających 3.000 robotników, przeważnie tkaczy. Oprócz nich pracowało tu 2.000 chałupników tkackich. Huragan wojny nie ominął Konstantynowa, czyniąc w nim dotkliwe spustoszenia. Od ostrzału artyleryjskiego uległo doszczętnemu zburzeniu 169 domów.

Powtórny awans Konstantynowa nastąpił w 1924 roku. Wtedy to kilkunastotysięcznej osadzie przemysłowej przywrócono prawa miejskie.

WACŁAW PAWLAK

W SIERPNIU ŻNIWA

Dalszy ciąg ze str. 1

W województwie miejskim łódzkim było do skoszenia 18 tysięcy ha łąk. Wystąpiło ogromne zapotrzebowanie na kosiarki rotacyjne. Wojewódzki Związek Kółek Rolniczych zapewnił sprzęt mechaniczny w 70 proc., dzięki czemu cała akcja mogła się zakończyć w ciągu 10 dni. I trawy w większości ścięto, gorzej ze sprzątnięciem siana z łąk.

— *Nie należy zwalać winy tylko na pogodę* — mówi kierownik wydziału techniki i usług WZKR, inż. Jan Blechowski. — *Podczas sianokosów wyłaniają się stare i nowe problemy. Moglibyśmy dokonać sprzętu zielonek jeszcze szybciej, ale występuje duża awaryjność. Rolnicy posiadają własne ciągniki, kosiarki listwowe, konne, ale wolą korzystać z usług SKR. Kiedy trawa wyrośnie, na łące nie widać kretowisk, kołków i kamieni. Maszyna wjedzie i zaraz szlag ją trafia. Moglibyśmy zakupić więcej kosiarek rotacyjnych, ale po co? Żeby stały? Nie ma części zamiennych... Kosiarka kosztuje 50 tysięcy złotych, remont tyle samo, a czasem więcej, bo z braku części wymienia się całe podzespoły. Mamy sporo maszyn do sprzętu zielonek, ale brakuje do nich ciężkich ciągników. Zbiór kukurydzy (oby tylko dobrze obrodziła!) będzie trudny, podobne kłopoty mogą wyniknąć ze zbiorem ziemniaków za pomocą kombajnów.*

— *Ja wam coś powiem* — wtrąca mgr inż. Mieczysław Brandys, prezes WZKR. — *W połowie lat pięćdziesiątych, jeszcze jako student, razem z ojcem skosiłem w ciągu dnia hektar łąki. Potem przez trzy noce nie mogłem przewrócić się na bok w łóżku. Dzisiaj dwóch kosiarzy za ścięcie hektara łąki weźmie dwa tysiące...*

— *Po tysiąc złotych od łebka za dzień pracy?*

— *A co pan myślał? Kobieta przy zbieraniu ziemniaków za maszyną bierze 60 zł za godzinę. Wracając jednak do sianokosów, należy zaznaczyć, że za kosiarkę rotacyjną, która na szerokiej, równej łące w ciągu godziny może skosić hektar traw, rolnik płaci 85 zł za godzinę. Nie ma się więc co dziwić, że chłop woli wziąć kosiarkę z SKR.*

— *Panie prezesie, zielone żniwa się przeciągają, opóźni się chyba także sprzęt zbóż. Co z tego wyniknie?*

— *Nerwówka i sporo kłopotów. Mimo mechanizacji, mimo założenia łączności bezprzewodowej, bo już na 11 gmin w 9 mamy radiotelefony, które będą zainstalowane także na kombajnach. Kiedy zaczynałem praktykę w latach pięćdziesiątych, a było to w zespole PGR Tolki w Olsztynie, akcja żniwna zaczynała się od batalii o kosy i osełki. W PGR pracowały zwykłe kosiarki, junaczki wiązały zboże w snopy, ładowały na wozy i do stodoły albo w sterty. A potem od jesieni do zimy trwała młocka. Trochę później, gdy pracowałem jako agronom w spółdzielniach produkcyjnych, kosiło się już zboże dość precyzyjnymi wiązałkami niemieckimi. Ale takie wiązałki dostawały tylko spółdzielnie, chłopi musieli brać się za kosy. Dzisiaj, w województwie miejskim mamy do skoszenia 46 tys. ha zbóż. WZKR skosi 20 tys. ha. Tylko około 5 proc. ścina się kosą, tam, gdzie zboża za mocno wyległy. A tak wszyscy czekają na „Super-Bizona".*

— *I „Super-Bizon" będzie wjeżdżał na te małe działki, po 10—12 arów?*

— *Jak ma stać bezczynnie, to lepiej niech wjedzie, chociaż nie powinniśmy przyjmować zamówień na działkach poniżej 0,5 ha.*

— *To mamy za dużo kombajnów?*

— *Jest ich sześćdziesiąt cztery, dojdzie jeszcze pięć. Tym sprzętem, zakładając, że przy 200 godzinach pracy wypadnie po 150 ha na kombajn, można sprzątnąć 20 proc. areału i pozostanie jeszcze dla kombajnów rezerwa. Po prostu istnieje większe zapotrzebowanie na wiązałki, które niżej tną. Zeszły rok dał się rolnictwu we znaki, cena słomy doszła do 700 zł za kwintal, toteż przezorni chłopi chcą zebrać jak najwięcej słomy, która może być przeznaczona na paszę, siana bowiem będzie mało. Gdyby było mokro, do kombajnów założy się koła bliźniacze. Wszystko jest sprawne, mamy pełną obsadę operatorów, są również prasy wysokiego zgniotu. Nie wszystkie jednak znajdą się w akcji, zwłaszcza enerdowskie, ponieważ brakuje części zamiennych.*

— *Można by dokupić wiązałek, skoro jest tak duże zapotrzebowanie, a kombajny niech młócą zżęte zboże.*

— *Można by dokupić, ale wiązałek w „Agromie" nie ma. Natomiast młocka kombajnem jest nieekonomiczna, dla chłopa za droga. Chłop woli młócić młockarnią także z tej przyczyny, że ma wtedy plewy, które obecnie liczą się bardzo jako pasza. Ja myślę, że jednak wykorzystamy kombajny w pełni, zorganizowaliśmy nawet konkurs na najlepszego kombajnistę, a nagrody zawsze dopingują do wytężonej pracy....*

Wszystko jest przygotowane, sprzętu sporo, a przecież prezes Brandys mówił o „nerwówce". Otóż wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że żniwa rozpoczną się dopiero w sierpniu. Starzy rolnicy przewidują, że na gruntach niskich zboża dojrzeją w połowie sierpnia. Co z tego wynika? Ano to, że najprawdopodobniej nie będzie się siać poplonów ścierniskowych, gdyż te nie zdążą wyrosnąć. Trzeba będzie myśleć o siewie poplonów ozimych, przede wszystkim żyta na kiszonkę.

Po drugie, w czasie żniw, jeśli pogoda się poprawi, dojrzeje do sprzętu drugi pokos traw, które trzeba koniecznie zebrać, bo tylko one mogą podreperować bilans paszowy.

Po trzecie, trzeba szybko wapnować gleby i walczyć ze stonką ziemniaczaną, która niechybnie wylezie po deszczach na plantacje ziemniaków. Ponadto pod koniec sierpnia i na początku września, a więc jeszcze w trakcie spóźnionych żniw, rolników czekają orki siewne i wykopki.

I omłoty. Są młockarnie, brakuje ludzi, bo robota sezonowa. Wprawdzie agregaty wypuszcza się w ajencję, dając maksymalne stawki, ale to nie załatwia sprawy całkowicie, gdyż często ajenci to ludzie trunkowi, zawalający robotę.

I sprawa nie mniej ważna — odbiór zboża do magazynów. A więc także transport. I teraz wyłania się taki problem: postawić ciągnik czy używać go i zatrzeć silnik? Nie mabowiem filtrów olejowych. Jeden filtr olejowy, który należy wymieniać co 200 tzw. motogodzin, kosztuje 150 zł. Remont silnika po zatarciu — przynajmniej 15 tys. złotych. Ale w te żniwa produkcja filtrów olejowych jeszcze nie ruszy.

Najważniejsza w rolnictwie kampania żniwna musi przebiec szybko, sprawnie, bez strat...

Foto: T. Wasilewski

Jesteśmy drugim na świecie potentatem pod względem produkcji żyta, co wcale nie upoważnia nas do tego, żebyśmy to żyto marnowali. A tak się, niestety, działo, bo jeszcze do niedawna zboże marnowało się, suszone nawet w pustych kurnikach, przerzucane łopatami. Jeżeli w województwie miejskim w ostatnich kilku latach podwoiła się ilość kombajnów, które zbierają ziarno wilgotne, to przy każdej Gminnej Spółdzielni powinna istnieć mała mechaniczna suszarnia. Dzięki temu kampania żniwna trwałaby krócej, uniknęłoby się straszliwych korków i scen dantejskich przed nielicznymi, dużymi magazynami. Kiedy plony były niskie i czas nie naglił, chłop suszył po trochu ziarno na klepisku. Teraz nie może sobie na to pozwolić.

Jest faktem bezspornym, że polityka rolna partii i rządu sprawiła, że mamy na wsi coraz więcej nowoczesnych środków produkcji. W br. rolnictwo polskie będzie dysponować m. in. ponad 27 tysiącami kombajnów zbożowych typu „Bizon", 132 tys. wązałek, 24 tys .pras do słomy i niemal 600 tys. ciągników. Centralny Zarząd Technicznej Obsługi Rolnictwa ocenia, iż przygotowanie sprzętu do żniw jest obecnie o wiele lepsze niż w latach poprzednich. Jednakże ilość i stan gotowości to jeszcze nie wszystko, bo np. kosiarki rotacyjne były przygotowane do sianokosów tak dobrze, jak nigdy dotąd, a mimo to wiele z nich poszło z łąk do warsztatów naprawczych i do tej pory jeszcze stamtąd nie wyjechało.

Najważniejsza w rolnictwie kampania żniwna musi przebiec szybko, sprawnie, bez strat, bo sytuacja jest trudna: opóźnienia, spiętrzenie prac, straty w zbiorach siana, niemożność uzyskania poplonów ścierniskowych. Obecnie żniwa to już nie tylko batalia o chleb, ale także o pasze, o słomę i plewy. Kiedy piszę te słowa, do żniw, według przewidywań, pozostaje jeszcze miesiąc. Przez ten czas trzeba zrobić wszystko, aby duże, silne zaplecze techniczne w pełni wspomogło borykającą się z kłopotami, ciężko pracującą wieś, żeby nie zabrakło prostych, lecz niezbędnych elementów i części do napraw; żeby zawsze w porę znaleźli się na polach nie tylko fachowcy, mechanicy, ale też służba rolna, naczelnicy gmin, wojewodowie, prezydenci. W tym roku nie można przyglądać się żniwom z okien samochodów, ponieważ, choć brzmi to nudnie i przesadnie, naprawdę nie powinien zmarnować się żaden kłos. Tym bardziej, że musimy ograniczyć import pasz.

RYSZARD BINKOWSKI

NOWE STAWKI CZYNSZOWE

Dalszy ciąg ze str. 1

ODGŁOSY: Podniesienie stawek czynszowych w tzw. mieszkaniach kwaterunkowych (tj. przydzielonych z zasobów rad narodowych i zakładów pracy, a także niektórych prywatnych) stało się faktem. Na czym polega różnica pomiędzy obecnym zarządzeniem, a obowiązującymi dotychczas przepisami, bowiem opłaty za tzw. nadmetraż były i są płacone do dziś?

JERZY ANDREJEW: Dotychczas obowiązywały nas przepisy sprzed piętnastu lat. Było to Rozporządzenie Rady Ministrów z 20 lipca 1965 roku, ogłoszone w Dzienniku Ustaw nr 25. Za powierzchnię ponadnormatywną oddzielnego pokoju najmniejszych rozmiarów, płaci się wyższą stawkę wg tabeli nr 2 tego przepisu. Zgodnie z tą tabelą, za powierzchnię ponadnormatywną płaci się w zależności od miejsca położenia lokalu w określonej strefie miasta, bądź też od charakteru lokalu. Tu należy wyjaśnić, co to jest owa powierzchnia ponadnormatywna. A więc jest to powierzchnia przypadająca ponad obowiązującą normę, jaka przypada na 1 osobę (10 m kw.). I te przepisy pozostają w mocy.

Od 1 sierpnia br. wchodzą w życie przepisy dodatkowe. Będą one obowiązywały w przypadkach, kiedy w mieszkaniu ilość pokoi jest większa niż liczba uprawnionych do zamieszkania. Wtedy za pokój ponadnormatywny (bierze się pod uwagę pokój najmniejszy), płacić się będzie 20—30 zł za metr kwadratowy, w zależności od technicznego wyposażenia mieszkania.

Sumując: wtedy, gdy ilość pokoi jest mniejsza od liczby zamieszkujących je osób, za powierzchnię ponadnormatywną — jeśli taka występuje, płacić się będzie według starych zasad. Natomiast, jeśli ilość izb jest większa od liczby osób — płacić się będzie według zasad nowych.

Przepisy te zostały ogłoszone w Dzienniku Ustaw PRL nr 15 z dnia 8 lipca 1980 roku jako „Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 10 czerwca 1980 roku zmieniające rozporządzenie w sprawie czynszów najmu za lokale mieszkalne".

ODGŁOSY: Czy nowe stawki czynszowe obejmują absolutnie wszystkie lokale, zarówno te, o których mówi się popularnie jako o lokalach kwaterunkowych — jak i lokale, należące do spółdzielń mieszkaniowych?

JERZY ANDREJEW: Rozszerzy się kategoria lokali, w których będzie się płacić nowe stawki czynszowe. Chodzi o budynki będące pod zarządem kwaterunkowym Milicji Obywatelskiej oraz służby więziennej, budynki położone na terenach PGR i terenach leśnych oraz na terenach Państwowych Zakładów Mechanizacji Rolnictwa, na terenie gromad (przeznaczone na agronomówki, wodomistrzówki, sanitarne punkty weterynaryjne, lecznice zwierząt oraz budynki stacji pomp). Natomiast nowe zarządzenie nie dotyczy lokali będących pod zarządem spółdzielni mieszkaniowych, a także budynków jednorodzinnych, wyłączonych spod tzw. szczególnego trybu najmu.

ODGŁOSY: Ile mieszkań w Łodzi jest przewidzianych do zamiany w związku z nową ustawą i w jakim czasie może taka wymiana nastąpić?

WŁODZIMIERZ ZAJDLER: Zjednoczenie Gospodarki Komunalnej zbiera obecnie te dane i do końca lipca będzie posiadać pełne informacje.

STEFAN MAJCHERCZAK: W myśl projektu Rozporządzenia Rady Ministrów — gdyż, zanim nie nadejdą decyzje wykonawcze, musimy traktować to rozporządzenie jako projekt — sprawy rodzin, które zajmują lokal z dodatkową izbą, a zgłoszą chęć zamiany lokalu na lokal mniejszy, terenowe organa administracji państwowej są zobowiązane załatwić w ciągu 6 miesięcy.

ODGŁOSY: Mieszkania, jeśli chodzi o ich wyposażenie, nie są sobie równe. Ktoś, kto dotychczas nie miał u siebie centralnego ogrzewania, ciepłej wody, gazu itp., może otrzymać mieszkanie z pełnym wyposażeniem technicznym w te urządzenia. Co wtedy?

STEFAN MAJCHERCZAK: Jesteśmy w stanie zamienić każdej rodzinie mieszkanie większe na mniejsze, ale o tym samym wyposażeniu technicznym jak mieszkanie, które dotychczas zajmowała. Natomiast nie jesteśmy w stanie załatwić przydziału mieszkań o większym „komforcie" tym wszystkim, którzy oddawać będą duże mieszkanie, ale bez c.o. i gazu, a zażądają mniejszych w blokach.

ODGŁOSY: A jak zostanie rozwiązana sprawa rencistów, emerytów i ludzi chorych, lub kalek wymagających opieki?

JERZY ANDREJEW: W wyjątkowych wypadkach, kiedy względy społeczne i zdrowotne przemawiają za dalszym pozostawieniem najemców w dotychczas zajmowanym lokalu, terenowy organ administracji państwowej może udzielić pomocy finansowej z terenowego funduszu mieszkaniowego na częściowe pokrycie opłat, o których jest mowa w Rozporządzeniu Rady Ministrów. Przekładając to na język codzienny: nie będzie żadnych zwolnień ani zniżek, a po prostu będziemy z miejskiego funduszu mieszkaniowego pokrywać opłaty za dodatkowe pomieszczenia. Minister administracji w porozumieniu z ministrem pracy, płac i spraw socjalnych oraz CRZZ ustali tryb i zasady tej pomocy.

ODGŁOSY: Do kogo ma się zgłaszać człowiek, który chce dokonać zamiany mieszkania?

STEFAN MAJCHERCZAK: Zgłasza się do Wydziału Gospodarki Komunalnej i Spraw Lokalowych urzędów dzielnicowych według miejsca zamieszkania.

ODGŁOSY: Jak w myśl nowego rozporządzenia będą traktowane pokoje wynajmowane dla studentów? Czy będą wolne od opłaty? Ponadto interesuje nas sprawa pomieszczeń zajmowanych przez osoby trzecie: np. podnajemców.

STEFAN MAJCHERCZAK: W sprawie studentów nic nie wiemy, nie mamy jeszcze zarządzeń wykonawczych, natomiast za pokoje podnajmowane osobom trzecim musi płacić najemca. Bowiem przepis dość wyraźnie precyzuje, kto może zajmować lokal mieszkalny, a kto jest jedynie podnajemcą. Na każdej decyzji o przydziale mieszkania są wyszczególnione wszystkie osoby mogące zamieszkiwać w określonym mieszkaniu.

KAZIMIERZ ZWIERZCHOWSKI: Przepis natomiast nie dotyczy osób, które naturalną koleją rzeczy przybyły od chwili nabycia uprawnień do najmowania: a więc dzieci, współmałżonków i wnuków, mimo że nie figurowały one na decyzji przydziału lokalu mieszkalnego. Nie dotyczy to natomiast tzw. podnajemców, którzy zostaną zameldowani w danym mieszkaniu.

ODGŁOSY: Sporo osób korzysta z dodatkowej powierzchni. Czy w myśl obecnego zarządzenia posiadając osobny pokój z tytułu wykonywania zawodu, np. pisarze, dziennikarze, muzycy, nauczyciele, plastycy itp. będą ponosić dodatkowe koszty. Jak zostanie rozwiązana ta sprawa?

STEFAN MAJCHERCZAK: W stosunku do tych osób nic się nie zmieni i ich uprawnienia zostaną zachowane.

ODGŁOSY: A młode małżeństwa?

KAZIMIERZ ZWIERZCHOWSKI: W tej chwili, w myśl obowiązującego nas prawa lokalowego, młodemu małżeństwu nie posiadającemu dzieci przysługuje dodatkowa powierzchnia dla jednej osoby, czyli może ono otrzymać o jedno „M" więcej. Interpretacja tego prawa dotyczy także małżeństw, które posiadają dzieci z poprzedniego małżeństwa, a także osób powtórnie zawierających małżeństwo w małżeństwach rozwojowych.

STEFAN MAJCHERCZAK: Wyjaśnię to na przykładzie: młode małżeństwo otrzymuje M-3 zamiast M-2. Ale M-3 to przecież dwa pokoje, czyli w izbach wszystko się zgadza i Zarządzenie Rady Ministrów ich nie dotyczy.

ODGŁOSY: A jak będzie się traktować mieszkania w układzie amfilady?

STEFAN MAJCHERCZAK: Traktujemy jako dodatkowe pomieszczenie i, niestety, trzeba będzie za to płacić.

ODGŁOSY: Załóżmy, że obywatel zgłasza chęć zamiany. Co dalej?

JERZY ANDREJEW: Od momentu zgłoszenia chęci zamiany, takiemu obywatelowi zostanie natychmiast wstrzymana opłata za dodatkowy pokój. W dalszej kolejności będzie trwała już praca czysto techniczna. Ale chciałbym zaapelować, by zgłaszający nie stawiali nam wygórowanych warunków. Możemy, w uzasadnionych przypadkach zamienić jedynie kondygnację na niższą lub wyższą.

STEFAN MAJCHERCZAK: Dla chcącego zamienić mieszkanie większe tzw. kwaterunkowe — na mniejsze, lecz spółdzielcze, obiecujemy jak najdalej idącą w tym kierunku pomoc. Oczywiście, wkład spółdzielczy musi pokryć sam zainteresowany. I jeszcze jedno: w przypadku zgłoszenia zamiany większego mieszkania na mniejsze, obywatel zostaje zwolniony od wszelkich opłat wynikających z tytułu zamiany. A więc: rodzina taka nie opłaca komisji, nie płaci różnicy w urządzeniach technicznych, a nawet koszty przeprowadzki mogą się odbywać na koszt państwa.

WŁODZIMIERZ ZAJDLER: Zjednoczenie Gospodarki Mieszkaniowej posiada już pełną ewidencję osób wnoszących opłaty z tytułu zajmowania powierzchni ponadnormatywnej. Teraz, kiedy ukazało się Rozporządzenie Rady Ministrów, przystępujemy do zmian naliczania nowego czynszu. W każdym razie 1 sierpnia br. będziemy całkowicie gotowi.

STEFAN MAJCHERCZAK: Tak więc oczekujemy jedynie na wnioski obywateli pragnących zamienić mieszkania. Sami, jako urząd, jesteśmy do tej akcji w pełni przygotowani.

ODGŁOSY: Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

JACEK INDELAK

WYTRWALI budują przyszłość

Bzuro, rzeko martwa, co pośród łąk, pól i lasów rynsztokiem płyniesz. Rzeko zatruta fenolem, chloropikryną, tiocyjanianami, pestycydami, detergentami — plwociną i wymiocinami Cywilizacji, która nie tylko z tobą tak okrutnie się obeszła. Bzuro, rzeko uśpiona, co pod Sobotą w łuk wygięta smętnie i leniwie splugawione wody przetaczasz...

— *Bzura? Jeszcze moje dzieciaki dobrze pamiętają rzekę czystą, ryby pełną* — stwierdza beznamiętnie Piotr Klepczarek, opierając swą ciężką torbę listonosza na odrapanej ramie wysłużonego roweru. Zastępi się jednak zaraz: — *Biedna rzeka, ma swoje bogate dzieje, jak i nasza wieś położona na jej brzegu. Chociaż dla Soboty los jest od dawna znacznie łaskawszy, niż dla samej rzeki!*

Przerzucony ponad rzeką most unosi na chwilę asfaltową szosę z Walewic, która opada zaraz ostrym zakrętem w granice wsi, za jakimi zawija się od razu w łagodne rondo, obiegające plac Zawiszy.

Plac ten — niegdysiejszy rynek — pokrojony dziś w chodnik i trawniki, przypomina żywo miejski skwer, w którego centralnym punkcie brak tylko pomnika. Również i pierzeje placu, z trzech stron obudowane domami, a z czwartej — masywnym szczytem kościoła, przywodzą na myśl stare miasteczko. Nie bez powodu zresztą, gdyż Sobota dłużej miastem była, niż jest wsią — zdegradowana do tej roli represjami po powstaniu styczniowym.

Po wiejsku tu jednak życie płynie: w południowym skwarze brzęczą ospałe muchy, a czas wlecze się powoli, nie według wskazówek zegara, lecz wędrówki słońca, wyznaczającego stateczne przesuwanie się godzin ze sfery światła w smugę cienia. Takie przynajmniej wrażenie wynieść można z pobieżnej obserwacji otoczenia, wpisanego w perspektywę centralnego placu.

Nie o wrażenia tu jednak chodzi, lecz o klucz do wsi, klucz do życia jej mieszkańców.

Na początek więc — adres administracyjny Soboty: województwo skierniewickie, gmina Bielawy.

Naczelnik gminy, Kazimierz Liberski, stwierdza bez entuzjazmu:

— *W gminie jest 39 wsi, z tego większość lepszych. A w tym grajdołku nad Bzurą mieszka trzoda ludzi o różnych zawodach, nie za wielkiej jednak aktywności społecznej. Niczym szczególnym Sobota się nie wyróżnia. Ostatnio nieźle prosperuje, a to głównie dzięki rozwijającemu się warzywnictwu: ogórki, pomidory, porzeczki, cebula. Na warzywnictwie wielu majątek zbija.*

Konkretniej: Sobota — to 215 hektarów ziemi, w tym — 178 gruntów ornych. Większość ziemi skupia Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna „Przyszłość" i sobocki oddział Państwowej Stadniny Koni w Walewicach, pozostałe grunty — w indywidualnym posiadaniu. Czyim? Wieś liczy sobie 656 mieszkańców, równowaga płci niemal idealna. Również i pod względem wieku populacji jest Sobota bliska wewnętrznej harmonii — ani za stara, ani za młoda, w sam raz. Po prostu — normalna wieś.

„Kopiec" — sobockie gospodarstwo walewickiej stadniny — na wschód, „Przyszłość" — na zachód. A na północy — „Pszczółka".

Trzy wierzchołki trójkąta, w którym zamyka się cała wieś, a który narzuca jej mieszkańcom styl, tempo i rytm życia, organizując ją od wewnątrz, narzucając większości obejść i domostw określony status zawodowy, społeczny, finansowy.

Południowa pierzeja rynku — z apteką i ośrodkiem zdrowia — to podstawa tego trójkąta. Asfaltowa droga na jej przedłużeniu — równoległa do Bzury — wiedzie aż do starej bramy w wysokim murze, którym nigdysiejsi panowie na „Kopcu" odcięli się od plebejskiej wsi.

Na rynku spokój, cisza, zastój. I tylko stado wróbli podrywa się z jezdni, umykając przed kołami ciągnika, który z brzękiem przetacza pustą przyczepę wokół ronda. Zatacza koło i wychodzi na prostą, wzdłuż kościelnego muru, za którym czerwieni się masywna chluba Soboty — XVI-wieczna gotycko-renesansowa świątynia.

Ciągnik telepie się jeszcze dalej na zachód, asfaltową wciąż drogą, wzdłuż cmentarnego muru i ostatnich opłotków — tam, gdzie ongiś folwark Zakrzew, a dziś zamykają Sobotę zabudowania Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej „Przyszłość", o której można zacząć efektownie:

„Podobno pieczątka się zachowała, tylko ostatnio gdzieś się zawieruszyła. A szkoda, bo była nader oryginalna. Na szczęście na wielu dokumentach dochował się jej odcisk: Rolniczy Zespół Spółdzielczy im. 8 Wytrwałych w Sobocie".

Kolejny wierzchołek społeczno-gospodarczego trójkąta, którym przemierzać można współczesną Sobotę.

„Przyszłość" zapowiada się okazale: długie i solidne ogrodzenie otwiera się szeroką bramą na drogę. Po lewej stronie bramy — własna stacja benzynowa, która nie może służyć również pojazdom z zewnątrz, bo na przeszkodzie stoją bzdurne przepisy. Po prawej stronie — piętrowy budynek administracyjny. A dalej — pawilon socjalny z obszerną stołówką. A głębiej — bliźniacze hale brojlerni, baza kontumacyjna z eksportowymi bukatami, a także wiele innych, różnego wieku i przeznaczenia budynków — z magazynami i warsztatami włącznie.

W biurowcu — Europa: boazerie, wykładziny, glazury, parkiety, pośród których — nowoczesne i eleganckie meble. Modernizacja — prowadzona przez własne brygady remontowe — ciągnęła się długo. Dopiero na samym końcu sięgnęła gabinetu prezesa, któremu nie spieszno było do luksusów, rzadko go zresztą zastać można za biurkiem, lepiej szukać w obejściu czy na polu.

— *Pańskie oko konia tuczy!* — uśmiecha się prezes, inżynier Zenon Kuciński. Uśmiecha się po swojemu: całą swoją otwartą twarzą, wzbudzającą na pierwsze wejrzenie sympatię i zaufanie.

— *Jaki tam ze mnie inżynier* — ironizuje. — *Odstaję wyraźnie od tej inteligencji technicznej. Spotykam się czasem z kolegami z uczelni, którzy po ukończeniu studiów poszli do miasta. I co? Coraz częściej zapominam języka w gębie, coraz bardziej się od nich oddalam. Ja z roku na rok chłopieję, a oni z miesiąca na miesiąc panieją.*

Ironizuje prezes, bo ostatecznie z rodziną w mieście mieszka, a i to niczego sobie — w Łowiczu. Ma jednak też trochę racji, gdyż żaden z niego dygnitarz — z prostym spółdzielcą i pracownikiem wspólnego języka szuka. I znajduje. Walą więc do prezesa, jak — nie przymierzając — do dobrego kumpla, wprost z korytarza, w zabłoconych kapciach i w utytłanym drelichu. Właśnie wchodzi, jasne, bez pukania — starszy mężczyzna w roboczym ubraniu.

— *Jedziemy na targ z koniem* — oznajmia. — *Ile czynić?*

— *Co pytasz, skoro sam wiesz?* — odpowiada inżynier.

— *Dobra, będę czynił dwadzieścia pięć kawałków.*

Prezes Kuciński komentuje po jego odejściu:

— *Ma on serce ogromne dla spółdzielni, która jest dla niego rzeczywiście własna, nasza. I pracuje tu, jak dobry gospodarz — na swoim.*

Tak, bo to Stefan Dziedziela.

Stefan Dziedziela, Józef Drabik, Stefan Kazimierski, Kazimierz Kołodziejski, Stanisław Kowalski, Stanisław Kruk, Stanisław Marosek i Mieczysław Mrowicki. Kilku nie żyje już, inni na emeryturze, zaś trzej pierwsi pracują tu do dziś. Ta właśnie ósemka to „wytrwali" z pieczątki, których upór i wola pozwoliły sobockiej spółdzielni przetrwać najgorsze.

— *Ludziska kochane, tak przecież gospodarzyć się nie da. Na tych spłachetkach ziemi, bez budynków, bez narzędzi, bez inwentarza? Trza to wszystko zebrać do kupy, bo w pojedynkę nikt nie poradzi!* — nawoływał na założycielskim zebraniu w 1950 roku pierwszy przewodniczący spółdzielni, Stefan Kazimierski.

Tak agitował Kazimierski realnie oceniając sytuację. Od pięciu już lat cieszyli się sobotczanie wolnością i ziemią. Bezrolna biedota podczas egalitarnej reformy rolnej wyciągnęła spragnione, zachłanne ręce po wytęsknioną ziemię Przegalińskich, Stokowskich, Zawiszów. Pokrojono, rozkawałkowano zasobne latyfundium, rozmieniając je na kiepskie i głodne karzełki, na których świeżo upieczeni gospodarze klepali biedę, że żałość brała patrzeć.

— *Cholera jasna, tam to przynajmniej było zawsze co do garnka włożyć!* — klął na czym świat stoi niejeden były dworus, któremu teraz przyszło na trzech hektarach dziedzica odgrywać.

Skrzyknęło się więc paru, połączyli swoje działki w spółdzielczą wspólnotę, która jednak sama rodzić nie chciała. Z rozpędu jednak dobili się 130 hektarów ziemi ornej i łąk nad Bzurą, która wtedy jeszcze kryształowe wody pod Sobotą toczyła. Wyniki wciąż jednak były mizerne, bo to niby kolektyw, ale większość patrzyła ciągle tylko na swoje i ciągnęła do siebie, ile tylko się dało.

Kryzys nastąpił w 1956 roku, wraz z przelewającą się po całym kraju „odwilżą". Ze spółdzielni — korzystając z pierwszej okazji — wystąpiła większość.

— *Zbierali manatki przede wszystkich tacy, którzy zdążyli się już pobudować na własnych działkach. Oni to zresztą żyli i pracowali od początku sobie, a spółdzielnia sobie* — wspominają ci, którzy przetrwali wbrew zresztą przepisom, a i wbrew rozsądkowi, jak się wówczas zdawało.

Formalnie spółdzielnia przestała istnieć: potrzeba było co najmniej dziesięciu członków. Wytrwała ósemka i z tym sobie jednak poradziła. W odległych o kilkanaście kilometrów Lisiewicach również rozsypała się spółdzielnia, nie wszyscy jednak uciekli. Została dwójka upartych niedobitków: Bolesław Pawlata z żoną Anielą i Józef Pawlata z żoną Józefą — żadna zresztą rodzina. Połączyli się więc Pawlatowie z sobotczanami wnosząc w spółdzielczym wianie dwadzieścia hektarów i murowaną stodołę.

I tak powoli, chłodno i głodno, ciągnęli sami aż do 1964 roku, w którym wstąpiły do spółdzielni trzy następne rodziny: Kopciowie, Jakubikowie i Józefowiczowie. Trudno dziś dojść motywów ich decyzji, gdyż spółdzielnia przez wzbogacająca się wolno, lecz skutecznie wieś traktowana była jako margines jej życia społecznego i gospodarczego, faktycznie ten margines stanowiąc.

W trzynastorodzinny ten układ wchodzi w 1968 roku Aleksander Makowski — najpierw jako kierownik produkcji, a potem samozwańczy bez mała prezes. Młody i energiczny zootechnik z Jackowic nie jest już jednak — jak poprzednicy — zatrudniony przez spółdzielnię za kiepskie pieniądze, lecz skierowany tu przez Powiatową Radę Narodową, a więc i przez nią opłacany — pensją równą niemal poborom przewodniczącego rady.

„Powiat" płaci i wymaga, więc Makowski ostro sobie poczyna w spółdzielczym zastoju. Kij w mrowisko. Od pierwszych dni — konflikty i niesnaski, chociaż w pierwszym roku podciąga on plony do 20 q z ha, podczas gdy przedtem różnie bywało: zdarzało się, że nie zbierali nawet... 5 kwintali. Makowski gospodaruje mądrze, lecz surowo, po nowemu. Trzech spośród „wytrwałych" nie wytrzymuje więc tempa i wypisuje się z interesu.

A zysk zaczyna przynosić nie tylko pole, lecz i brojlernia, na którą postawił nowy prezes. I tu przełamywać musiał skostniałe obyczaje. Przedtem kiepsko im szło, bo po chłopsku chytrzyli — niedogrzali i niedożywili. On zaś poprawił ogrzewanie, paszy nie szczędził, zgrał też idealnie z Kutnem dostawy i odbiór kurczaków. Ostro też wziął się za inne sprawy. Ukończył budowę biurowca. Wybudował garaże. Wziął się bazę kontumacyjną, w której hodować zaczęli bukaty na eksport do Włoch. Po dwudziestu też latach, nie bez protestów, ogrodził całe gospodarstwo.

— *Wszystko więc było na najlepszej drodze* — wspominają spółdzielcy. — *W 1972 roku nastąpił jednak krach. Rok był nieurodzajny. Dniówka wyniosła głodowe 32 złote. W spółdzielni zaczął się popłoch, członkowie — w międzyczasie odszedł Drabik i Kołodziejski — chcieli występować i przechodzić na status pracowników, bo ci przynajmniej mieli stałą płacę.*

Do tego doszły kłopoty z księgowością: nie było nigdy dostatecznych pieniędzy na opłacenie porządnego fachowca. Księgowi zmieniali się co parę miesięcy, tak że pod koniec roku spółdzielcy nie wiedzieli, jaka jest właściwie dniówka.

— *Do sprawdzenia bilansu trzeba było „wypożyczać" księgową z Wyborowa* — wspominają. — *Z powodu bałaganu w rachunkowości bank stosował często sankcje. Raz przez trzy miesiące nie było wypłaty. Sprzedać więc musieli na rynku trochę zboża żeby Makowski mógł wydzielić po pięćsetce na chleb.*

Kryzys był, na szczęście, krótkotrwały, zwątpienie nie całkiem jeszcze ogarnęło ludzi, a już spółdzielnia zaczęła się dźwigać z upadku.

Przyszedł na posadę kierownika produkcji inżynier Zenon Kuciński zatrudniona też została zootechnik do drobiu — notabene przyszła pani Makowska.

W 1973 roku — mimo spóźnionych siewów, mimo że kombajn się rozsypał — plony były pomyślne: po raz pierwszy 30 q z ha. Udało się też w tym roku namówić członków spółdzielni na likwidację obory, bo wstyd był zupełny — ponad trzydzieści krów a tylko dwie bańki mleka do zlewni. Zgodnie bowiem z uchwałami zarządu — resztę rozdzielali spółdzielcy między siebie. Dniówka podniosła się od razu o ponad 20 zł. W kwestiach finansowych w ogóle zaczynało się układać po kolei: przyszła już na stałe z Karatki wytrawna, choć młoda, księgowa, Henryka Pel.

W połowie tegoż roku w poczet członków przyjęta została cała brygada brukarska Włodzimierza Zielińskiego. Najęci oni zostali do utwardzania podwórka, bo w obejściu błoto było po kolana. Szybko i sprawnie wykonali to zamówienie, potem — następne, a w końcu przyjęci zostali na stałe, pracując nie tylko na rzecz spółdzielni, lecz i przysparzając jej sporych zysków z racji usług, świadczonych na zewnątrz które zaczęły się od utwardzania wysypisk buraków w Brzozowie i Młynowie, a także placów w cukrowniach w Dobrzelinie i Leśmierzu.

— *Wszystko byłoby znakomicie, gdyby nasze kury nie były zjadane przez byki* — żartują dziś w „Przyszłości", wspominając początkowe kłopoty z bukaciarnią. Ryzyko do tej pory ogromne: za kilogram żywca płaci się 27 zł, potem długo inwestuje się pracę i paszę, jeśli zaś sztuka zakwalifikowana zostaje na eksport — w porządku, bo 32 zł przewiduje cennik, jeśli natomiast kontrola odrzuci — klops, bo tylko 17 zł za kilogram.

W 1974 roku odchodzi prezes Makowski, a na jego miejsce wybrany zostaje inżynier Kuciński. Kontynuuje on rozbudowę spółdzielni — drogi, myjnie, rampy, wiaty, garaże. Na brojlernię przerobiona zostaje góra warsztatów, na bukaciarnię — stodoła.

Rozrasta się w szybkim tempie brygada Zielińskiego, która — wzbogacona o murarzy, stolarzy, hydraulików i elektryków — przeradza się w 44-osobową grupę inwestycyjną, dowodzoną przez Stanisława Piaskowskiego. Spółdzielnia — własnym sumptem i swoimi sposobami — wyposaża grupę w ciężarówki, taśmociągi, betoniarki, a nawet spychacz i koparkę. Sprzęt ten i ci fachowcy są niezbędni, gdyż prezes Kuciński rozkręca inwestycje na potęgę.

W 1975 roku opracowany zostaje program budowy ośrodka drobiarskiego za 50 mln zł na 18 tysięcy sztuk drobiu. Wiosną następnego roku — w cyklu 40-miesięcznym, narzuconym nie przez własne siły wykonawcze, lecz przez limity materiałowe i finansowe — rozpoczyna się budowa spółdzielczej fermy: ośmiu hal produkcyjnych, długiego budynku sanitarnego, paszarni i kotłowni, a także całej masy niezbędnych obiektów, od stacji transformatorowej, poprzez śluzy dezynfekcyjne, do dróg dojazdowych.

Inżynier Kuciński wchodzi do śluzy, nogi skrzętnie wyciera w gąbczasty, gumowy dywanik, obficie nasączony dezynfekującą cieczą. Fartuch też biały naciąga.

— *Przepisy mamy surowe, bo tu w grę przecież wchodzą ciężkie pieniądze, nasze, spółdzielcze. Staram się do brojlerni jak najrzadziej zaglądać, mamy przecież od tego fachowców, a im mniej osób się tu kręci, tym mniejsze zagrożenie dla kurczaków.*

A musiała „Przyszłość" nie jedno już zagrożenie przetrzymać. Największe chyba wtedy, gdy i nad Sobotą zawisło białe widmo klęski zimowej. Brnął wtedy, w 1979 roku, prezes dwadzieścia kilometrów na piechotę ze swojego Łowicza do swojej Soboty, zmagając się po drodze z dujawicą, i zaspami, a modląc się pewnie rozpaczliwie, żeby tylko elektryczności nie wyłączyli. Setki tysięcy złotych w kurczakach na obornik się jedynie zdadzą. Wyłączyli jednak, doświadczenia zaś z tamtej zimy, jak i późniejsze perypetie z dostawami prądu, podważyły do reszty zaufanie do świata zewnętrznego, zachwiane już zresztą wcześniej kłopotami z zaopatrzeniem w paszę i opał.

— *Na wszystko trzeba znaleźć sposób!* — nie traci jednak optymizmu sam prezes który sposobem sobie tylko znanym zdobył agregaty prądotwórcze z demobilu, którymi po części przywrócona została wiara spółdzielców w sens i logikę poczynań gospodarczych, uwikłanych w złożoności zaopatrzeniowe i kooperacyjne.

— *Im mniej się robi, tym mniejsze rzyzyko błędu!* — przytacza uznaną prawdę inżynier Kuciński, spoglądając z satysfakcją w długą, rzęsiście oświetloną halę nowoczesnego kurnika, w której wokół mechanicznych karmideł i poideł tłoczy się sterylnie czysty drób. Środkiem budynku przemyka biała sylwetka drobiarki, która zbiera w plastykowy pojemnik padłe w nocy kurczaki. Na szczęście stanowią te straty margines wielkiej hodowli, mierzonej przecież tysiącami sztuk.

— *Rozmiary naszej produkcji?* — powtarza pytanie Henryka Pel. — *Produkcja roślinna wartościowo jest niewielka: dwa miliony złotych. Główny zysk z drobiu: obrót 50 mln zł za 80 tysięcy brojlerów rocznie. Do tego 12 mln zł za bukaty, których produkujemy około 700 sztuk rocznie. Do tego pół miliona za tuczniki z lisiewickiej chlewni. Do tego usługi...*

— *Na ośrodku drobiarskim skończyliśmy program inwestycyjny w Sobocie* — mówi prezes przy innej okazji, siedząc nad aromatyczną kawą w swoim, zrobionym już na wysoki połysk gabinecie. — *Kończymy, bo tu za dobra ziemia.*

Nie oznacza to jednak końca rozbudowy. Znów własnym sumptem, własną grupą inwestycyjną rozpoczęli budowę w odległej o 16 km wsi Piaski, gdzie przejęli 100 hektarów z Państwowego Funduszu Ziemi. Przymierzają się też do przejmowania dalszych gruntów w rejonie Soboty.

— *Do zagospodarowania będzie tu w okolicy jeszcze z pięćset hektarów ziemi, niczyjej lub źle uprawianej, która powinna rodzić.*

— *Mamy teraz 108 członków spółdzielni, zatrudnionych w niej wraz z 20 pracownikami* — mówi prezes Kuciński. — *Dobre wyniki produkcyjne mają bezpośredni wpływ na poziom życia naszych ludzi. Kiedyś spółdzielcy uchodzili, nie bez powodów zresztą, za skrajną biedotę. A dziś? Niejeden spogląda na nich z zazdrością. Niejeden też chciałby do nas przystać, ale nie wszystkich już przyjmujemy. Zaostrzyliśmy kryteria, bo nie wszystko się teraz spółdzielni opłaca. Modne hasło — wyższy etap rozwoju: nie ilość, lecz jakość. Tak! Pomyśleć, że prawie pół setki naszych wybudowało już własne domki. Kiedyś z Nowego Osiedla nikt u nas nie pracował, teraz mamy stamtąd kilkanaście osób.*

Nowe Osiedle — znamienne — to sobocka „dzielnica willowa" w rejonie ulic: Szkolna — Parkowa, gdzie na stłoczonych po miejsku parcelach mieszka już lub buduje się miejscowa finansowa elita. Przed wojną na tym terenie — zwanym Zapłociem — gnieździła się w drewnianych pakamerach miejscowa biedota, której domostwa i chudoba poszły pierwsze z dymem podczas pożogi wrześniowej.

Zapłocie sąsiadowało, przez wysoki mur, z pięknym parkiem krajobrazowym, otaczającym „Kopiec", wielowiekową rezydencję właścicieli Soboty. Dziś, na „Kopcu" mieszkają Krystyna i Jerzy Pietraszewscy, prowadzący sobockie gospodarstwo walewickiej stadniny.

„Kopiec" — to kolejny wierzchołek trójkąta społeczno-ekonomicznego Soboty.

Jest jednak jeszcze i sobocka „Pszczółka", prowadzona od ćwierć wieku przez Longinę Walczak. A to już wierzchołek ostatni. Last not least. Ostatni w kolejności, lecz nie — co do znaczenia.

Odrębne to już całkiem rozdziały sobockiej współczesności. Nie mniej zresztą barwnej i interesującej, niż siedmiowiekowa historia tego zdegradowanego miasta lub wyawansowanej wsi, jak kto woli.

Foto: Jacek Indelak

ŁÓDŹ - SIERPIEŃ 1914

MIECZYSŁAW SKARZYŃSKI

Dzieje I wojny światowej są już dla współczesnych odległą historią. Problemy okresu lat 1914—1918, które budziły ożywione spory i dyskusje wśród bezpośrednich jej uczestników oraz historyków w dwudziestoleciu międzywojennym w dzisiejszych czasach ustąpiły miejsca bliższej nam historii II wojny światowej. Niemniej jednak, powinniśmy pamiętać, iż lata 1914—1918 miały równie przełomowe znaczenie dla losów narodu polskiego. Wielki konflikt zbrojny między zaborcami, o którym marzyli patrioci poprzednich pokoleń, zwycięstwo Rewolucji Październikowej w 1917 roku przyczyniły się do odzyskania przez Polskę niepodległości.

Pierwszym etapem odbudowy państwowości było utworzenie namiastek władz samorządowych na terenie Królestwa Polskiego, największego terytorialnie i ludnościowego z trzech zaporów, a który przez cały okres niewoli spełniał wśród nich wiodącą rolę. Rok 1914 przyniósł bowiem możliwość jaka nie istniała na tym terenie od czasów powstania styczniowego — organizowania przez ludność władz obywatelskich. Jednocześnie z całą ostrością wystąpił problem, która z dwóch dominujących w społeczeństwie klas: burżuazja czy proletariat kontrolować będzie nowo powstałe namiastki samorządu.

Początki tego konfliktu, będące sygnałem późniejszych batalii klasy robotniczej o zdobycie władzy politycznej uwidoczniły się szczególnie w Łodzi, w największym skupisku proletariatu w Królestwie Polskim.

Dezorganizacja życia gospodarczego obszaru Królestwa Polskiego położonego na lewym brzegu Wisły, która wystąpiła już od pierwszych dni sierpnia 1914 roku, pozbawiła pracy liczne rzesze robotników i inteligencji. Nieudolność i bezsilność władz carskich w walce z piętrzącymi się trudnościami zarysowała się jaskrawo również w dziedzinie pomocy dla ludności. Praktycznie więc całą akcję pomocy pozostawiono do realizacji społeczeństwu polskiemu.

Już w początkach sierpnia na całym obszarze Królestwa, najpierw w miastach, a następnie i we wsiach, zaczęły powstawać Komitety Obywatelskie podejmujące działalność dobroczynną i organizujące życie społeczno-gospodarcze różnych miejscowości i ich najbliższych okolic. Akcja ta nie ominęła Łodzi.

Początkowo społeczeństwo łódzkie mimo groźnych wieści nie wierzyło w wybuch wojny. Zaskoczeniem okazało się ogłoszenie mobilizacji 30 lipca 1914 roku. W ciągu kilku zaledwie dni miasto opuściła cała niemal administracja rosyjska. W kręgach przemysłowych i handlowych zapanowała zupełna dezorganizacja. Bank Państwa rozpoczął ewakuację, zawieszając, podobnie jak i Państwowa Kasa Oszczędności wszelkie wypłaty.

W większych fabrykach łódzkich ogłoszono, że zakłady przemysłowe będą czynne tak długo, jak na to pozwolą zapasy węgla, inne zostały zamknięte w pierwszym dniu mobilizacji, pozbawiając pracy wiele tysięcy ludzi. Do 14 sierpnia 1914 r. zostały unieruchomione wszystkie zakłady przemysłowe.

1 sierpnia 1914 r. pod przewodnictwem Alfreda Biedermana została utworzona „Rada Czternastu", która po ucieczce prezydenta miasta, Władysława Pieńkowskiego, automatycznie przekształciła się w Komitet Obywatelski. W składzie Komitetu było dwunastu przedstawicieli burżuazji, dziewięciu przedstawicieli inteligencji i tylko jeden przedstawiciel robotników — co stało się źródłem późniejszych sporów z lewicą robotniczą.

Twórcy Komitetu Obywatelskiego stanęli przed wieloma trudnościami. Przeważającą część ludności Łodzi liczącej wówczas około 600 tys. osób stanowił proletariat nie dysponujący żadnymi zasobami, a więc szczególnie narażony na głód już od pierwszych dni wojny. Należało mu zapewnić odpowiednie środki materialne, a w bezpośrednim interesie burżuazji łódzkiej leżało zapobieżenie jakimkolwiek walkom wewnętrznym. Zainteresowanie się sytuacją robotników przez burżuazyjny Komitet wynikało tylko częściowo z filantropijnych pobudek. Chodziło także o utrzymanie na miejscu siły roboczej, zapewnienie robotnikom egzystencji i stworzenie choćby pozorów solidarności wszystkich warstw społeczeństwa łódzkiego, zwłaszcza później, wobec niemieckich okupantów.

Niewątpliwie najważniejszą dziedziną działalności była przez cały okres istnienia Komitetu Obywatelskiego (do lipca 1915 roku) sprawa pomocy dla coraz liczniejszych rzesz pozbawionych środków do życia mieszkańców Łodzi. Według oficjalnych danych z 1 września 1914 r. grupa ta liczyła 135 tys. osób. W lutym 1915 r. było ich już 200 tys., w maju 1915 roku — już ćwierć miliona, co wobec niespełna 500 tys. ówczesnej ludności stanowiło liczbę wprost przerażającą. Zapomogi wydawane przez podlegający Komitetowi Obywatelskiemu tzw. Komitet Obywatelski Niesienia Pomocy Biednym, a wynoszące średnio po 7 kopiejek na osobę, były niewystarczające.

Problemy te, a także niepewność przyszłości miasta, w którym do końca 1914 roku kilkakrotnie zmieniali się okupanci (co przez ówczesnych nazwane zostało „kołowrotkiem" łódzkim) nie sprzyjało rozbudzeniu się życia politycznego. Szybkie przechwycenie władzy w mieście przez burżuazję w sierpniu 1914 roku, utworzenie przez nią Komitetu Obywatelskiego, jak widzieliśmy — całkowicie przez nią opanowanego — przez długie miesiące nie napotykało żadnej opozycji i sprzeciwu ze strony innych warstw społeczeństwa. Przebudzenie i ożywienie — niejako symbolicznie — nastąpiło wiosną 1915 roku. Wiązało się to niewątpliwie z ostatecznym opanowaniem Łodzi przez wojska niemieckie, unormowaniem frontu niemiecko-rosyjskiego w Królestwie, wytworzeniem się — jak to wówczas określano — „normalnego stanu w czasie wojny".

Społeczeństwo Łodzi, trapione nadal wieloma trudnościami bytowymi, z większą uwagą i krytycyzmem zaczęło śledzić poczynania Komitetu Obywatelskiego, dostrzegać niedoskonałości burżuazyjnych władz samorządowych. Najsilniejszy atak przeciwko Komitetowi Obywatelskiemu skierowany został ze strony lewicowej robotniczej Komisji Międzyzwiązkowej.

Zasadnicza zmiana sytuacji politycznej w Łodzi i pogarszające się położenie robotników stwarzało konieczność odpowiedniej akcji socjalistycznych partii robotniczych. Wprawdzie okupacyjne władze niemieckie nie zezwoliły na jawną działalność partii socjalistycznych, ale też nie stawiały przeszkód dla działalności związków zawodowych i stowarzyszeń robotniczych. Wyjątkowo ciężkie warunki pracy w czasie wojny nie sprzyjały rozproszeniu wysiłków, dyktowały konieczność bliskiej współpracy. Już w sierpniu 1914 roku powstała w Łodzi Komisja Międzyzwiązkowa grupująca związki organizowane przez SDKPiL, Bund i PPS-Lewicę. We wrześniu współpraca osiągnęła wyższy stopień. Powstała Międzypartyjna Rada Robotnicza, złożona z tych samych partii, a której przewodniczącym został przedstawiciel PPS-Lewicy, Ignacy Gralak. Partia ta była zresztą najsilniejszą w łódzkim środowisku robotniczym a do zajęcia Warszawy przez Niemców (5 sierpnia 1915 r.) kierowali nią właśnie z Łodzi tacy wybitni działacze jak Maria Koszutska i Józef Ciszewski.

Pierwsze starcie między lewicą robotniczą a burżuazyjnym Komitetem nastąpiło w związku z organizacją Milicji Obywatelskiej w Łodzi. Partie socjalistyczne zażądały oddania organizacji milicji, zwłaszcza w dzielnicach robotniczych w ręce bezpartyjnych związków zawodowych. Postulat ten został oczywiście odrzucony przez prezesa Centralnego Komitetu Milicji Obywatelskiej — Leona Grohmana. Motywy negatywnego stosunku CKMO do żądań robotników były zrozumiałe. Jeden z działaczy Komitetu, Mieczysław Hertz, po latach w swych pamiętnikach pisał:

„...ani Komitet Milicji, ani Komitet Obywatelski na propozycję tę ze zrozumiałych względów zgodzić się nie mogły i w myśl zasady, że nikt dobrowolnie władzy nie oddaje, stanęły na gruncie faktów dokonanych i podanie to odrzuciły".

Pomimo swego negatywnego stosunku do Komitetu Obywatelskiego jako tworu burżuazji łódzkiej działacze lewicy robotniczej zauważali jednak wszystkie jego dodatkowe strony, związane z możliwością pomocy dla głodującego proletariatu. Bojkotu Komitetu nie przyjęto i włączono się do jego prac. Utworzono Biuro Pośrednictwa Pracy, starające się w miarę skromnych zresztą możliwości załagodzić skutki bezrobocia, organizowano także tanie i bezpłatne kuchnie dla robotników.

Współpraca z burżuazyjnymi organizacjami pomocy społecznej nie oznaczała jednak zawieszenia broni na płaszczyźnie politycznej. Ponieważ „pokojowa" forma walki zawiodła — w związku z odrzuceniem przez CKMO postulatu zdemokratyzowania Milicji Obywatelskiej — sięgnięto po broń bardziej sprawdzoną, bardziej oddziaływającą na wyobraźnię fabrykantów i bankierów — zorganizowano wielotysięczne wiece robotnicze.

Pierwszy od pamiętnych dni rewolucji 1905 roku wielki wiec robotniczy odbył się w Łodzi 7 lutego 1915 roku.

„Dwa tysiące robotników bez różnicy wyznań i narodowości" — jak podkreślano w ówczesnej prasie — „przybyło do lokalu Biura Pośrednictwa Pracy, aby wysłuchać sprawozdania Komisji Międzyzwiązkowej z jej dotychczasowej działalności".

Wiec stał się trybuną oskarżycielską Komitetu Obywatelskiego. Wysunięto wobec niego następujące zarzuty: że zajmował wrogą postawę wobec delegatów robotniczych we władzach samorządowych, krytykowano odrzucanie propozycji mających polepszyć pomoc dla biednych, wskazywano na nadużycia w poszczególnych sekcjach. Uczestnicy wiecu wyrazili pełne poparcie dla Komisji Międzyzwiązkowej i uchwalili rezolucję w sprawie powołania demokratycznej Rady Miejskiej.

Aktywizacja Komisji Międzyzwiązkowej wyraziła się w zorganizowaniu rychło potem drugiego wiecu w dniu 21 lutego 1915 r. Przybyło nań już 5 tysięcy robotników. Domagano się utworzenia przedstawicielstwa robotników we wszystkich agencjach Komitetu. O tym, że nie myślano tylko o sprawach lokalnych świadczył fakt zaprotestowania przeciwko aresztowaniu w Petersburgu pięciu posłów socjalistycznych oraz poparcia kopenhaskiego kongresu socjalistów z państw neutralnych.

Ożywiona działalność stronnictw lewicowych skierowana przeciwko Komitetowi pobudziła do kontrakcji silnie związane z endeckim głównie samorządem chrześcijańskie związki zawodowe. Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, Związek Robotników Przemysłu Włóknistego „Praca" i „Christliche Gewerkschaft" utworzyły chadecką Komisję Międzyzwiązkową w celu ograniczenia wpływów radykalnej lewicy, rozbijając jedność proletariatu. „Nowy Kurier Łódzki", ze szczególną sympatią popierający poczynania lewicowych robotników pisał o tym fakcie z ironią:

„...Jakaż wielka różnica między związkami zawodowymi a stowarzyszeniami robotników chrześcijańskich. Gdy pierwsi zapraszają na zebranie wszystkich ludzi dobrej woli, drudzy wymagają legitymacji jako karty wstępu — nikt nie powinien zakłócić harmonii stada cichych owieczek, pozostających pod opiekuńczym skrzydłem patronów".

Działacze tych stowarzyszeń nie cofnęli się przed rozniecaniem niezgody w szeregach robotników. Nie szczędzono pełnych nienawiści i zazdrości zwrotów w odniesieniu do lewicowej Komisji Międzyzwiązkowej.

Brak reakcji ze strony burżuazyjnego Komitetu na postulaty wieców wywołał dalsze niezadowolenie wśród jego oponentów. Tłumaczono ten fakt słabą jeszcze akcją protestacyjną. Niestrudzony „Kurier" pisał 27 lutego 1915 r., zachęcając do dalszej walki:

„Jeżeli Komitet Obywatelski w chwili obecnej jeszcze rządy sprawuje, to czyni to tylko siłą faktu i skutkiem słabo zorganizowanego oporu ze strony ludności".

Głosy protestu przeciwko działaniu Komitetu w dotychczasowym składzie rozlegające się coraz liczniej z różnych warstw ludności (do robotników dołączyli przedstawiciele inteligencji i rzemieślników łódzkich) zachęciły Komisję Międzyzwiązkową do zorganizowania jeszcze jednego wiecu.

7 marca odbył się więc trzeci wiec, na który przybyło około 5 tysięcy robotników. Zażądano w ostrym tonie „zmiany samozwańczych Komitetów Obywatelskich na instytucje pochodzące z wyborów i odpowiedzialne przed ludnością".

Nasilenie się akcji protestacyjnej zmusiło w końcu Komitet do reakcji. Postanowiono rozszerzyć skład Głównego Komitetu (koordynującego prace innych sekcji) o „przedstawicieli robotników, rzemieślników i innych grup społecznych i zawodowych" — oczywiście popierających dotychczasowy samorząd. Jednocześnie 17 marca 1915 r. ogłoszono odezwę do opozycji robotniczej zdecydowanie odrzucając postulaty powołania drogą wyborów Rady Miejskiej czy nawet rozszerzenia składu Komitetu o przedstawicieli robotników. Ton odezwy wskazywał na wyraźne usztywnienie stanowiska Komitetu i pewność siebie burżuazji. Przyczyna tego tkwiła w wydarzeniach, które rozegrały się w Łodzi w drugiej połowie marca.

Niemieckie władze okupacyjne początkowo spokojnie, a nawet z satysfakcją obserwujące nasilającą się walkę różnych grup społeczeństwa z Komitetem Obywatelskim zaniepokoiły się w końcu rozmiarami wieców robotniczych i charakterem wysuwanych na nich żądań. Niemcy nie mieli nic naprzeciwko wewnętrznym walkom w społeczeństwie łódzkim, zwłaszcza że atakowano prorosyjski, nieufny i odżegnujący się od wszelkiej współpracy z nimi Komitet. W ostateczności woleli jednak samorząd kierowany przez burżuazję niż Radę Miejską o przewadze radykalnych socjalistów. Nieufność władz okupacyjnych wzrosła dodatkowo po wizycie w Łodzi niemieckiego posła socjalistycznego z Chemnitz, Noskego i jego kontaktach z kierownictwem Komisji Międzyzwiązkowej.

12 marca 1915 r. ogłoszono w prasie rozporządzenie generała von Tülffa, działającego w imieniu głównodowodzącego generała von Mackensena, w którym zakazywał na całym obszarze okupacji niemieckiej urządzania wszelkich zebrań i wieców. Każdorazowo wymagano specjalnego zezwolenia naczelników powiatów lub w przypadku Łodzi — prezydenta policji. Za złamanie tego rozporządzenia groziła kara do trzech lat więzienia.

Tego samego dnia Komitet Obywatelski otrzymał list od prezydenta policji, majora von Oppena, który zażądał podania składu prezydium wieców zorganizowanych przez lewicową Komisję Międzyzwiązkową. Pomimo jednak ogromnej niechęci i wrogości, jaką żywili do lewicy robotniczej działacze Komitetu, odmówili oni zdecydowanie spełnienia żądania niemieckiego.

Nie wstrzymało to Niemców przed rozpoczęciem represji wobec Komisji Międzyzwiązkowej. 15 marca 1915 roku w prasie i na murach miasta pojawiło się obwieszczenie majora von Oppena o treści następującej:

„Ignacy Gralak, Abel Kapotta, Władysław Strzelecki, Jan Mackowiak i Dawid Szwarcman aresztowani zostali i na czas wojny wydaleni z Łodzi, ponieważ w ostatnich tygodniach prowadzili stale agitację, zagrażającą pokojowi publicznemu przeciwko istniejącym władzom komunalnym. Przestrzegam każdego przed dalszą agitacją w tym sensie".

Aresztowanych wywieziono do obozu w Havelbergu, a następnie przymusowo osiedlono w Rheinsbergu, gdzie przebywali do końca 1915 r.

Tłumaczenie władz okupacyjnych, iż aresztowań przywódców robotników dokonano za występowanie przeciwko władzom samorządowym miało zasugerować ludności Łodzi, że nastąpiły one w wyniku interwencji i z inspiracji Komitetu. Wywołało to oczywiście ostry protest Komitetu Obywatelskiego. Część jego działaczy wystąpiła, wówczas z wnioskiem by demonstracyjnie rozwiązać władze samorządowe. Aby nie zadrażniać jednak sytuacji postanowiono by przewodniczący Komitetu, Antoni Stamirowski wyraził dezaprobatę wobec decyzji okupantów „nieproszonego" wystąpienia w obronie samorządu i starał się o uwolnienie aresztowanych.

„Wybory" nowych członków Komitetu odbyły się 26 marca 1915 r. Wśród nich znalazł się tylko jeden przedstawiciel robotników. Takie rozwiązanie problemu demokratyzacji władz samorządowych, o którą zabiegano przez blisko 2 miesiące było oczywiście nie do przyjęcia dla radykalnych ugrupowań robotniczych. Reprezentacja robotników we wszystkich sekcjach samorządu ogłosiła „Deklarację", rozpowszechnioną następnie wśród mieszkańców Łodzi. Stwierdzono w niej, że „parodia" wyborów, zainscenizowanych przez burżuazyjny Komitet była jaskrawym przeciwstawieniem się dążeniu społeczeństwa do zdemokratyzowania samorządu. Dopiero w sierpniu 1917 roku ugrupowania lewicy robotniczej uzyskały możliwość decydowania o losach samorządu miejskiego podczas pierwszych wyborów do Rady Miejskiej.

Poprowadzona wiosną 1915 roku przez Komisję Międzyzwiązkową trzech lewicowych partii robotniczych walka o demokratyzację władz samorządowych była jedną z największych kampanii politycznych w Łodzi podczas I wojny światowej. Pomimo niepowodzenia, stała się bodźcem ożywiającym ruch robotniczy, mobilizującym proletariat łódzki do działania, przygotowaniem do późniejszych, zwycięskich wystąpień w okresie międzywojennym o pełny i sprawiedliwy udział robotników w samorządzie miasta.

ADAM Z BOCHENIA

Łowicz i jego okolice wydały w okresie Odrodzenia wiele wybitnych postaci, które odegrały niepoślednią rolę w dziejach nauki polskiej. Jedną z nich był Adam z Bochenia (miejscowość podłowicka), inaczej nazywany Adamem z Łowicza lub Adamem Polakiem — lekarz, filozof i humanista, działający na przełomie XV i XVI wieku, w początkowym okresie rozwoju polskiej nauki renesansowej. W tym czasie w związku z rosnącym zrozumieniem potrzeb człowieka, wymogów higieny i zdrowotności oraz konieczności zwalczania epidemii rozwinęła się medycyna. Powoli zrywała ona z przesądami, a zwracała się do obserwacji i wiedzy o człowieku i przyrodzie. Zainteresowanie medycyną było wówczas ogromne. Każdy wybitniejszy humanista był też lekarzem, jak np. Jan z Ludziska czy Mikołaj Kopernik. Do nich należał także i Adam z Bochenia.

Po ukończeniu szkoły łowickiej rozpoczął studia w Akademii Krakowskiej (do albumu studentów został wpisany w roku 1486). Wkrótce osiągnął stopnie naukowe — w roku 1488 został bakałarzem (najniższy stopień naukowy), a w roku 1492 — magistrem nauk wyzwolonych czyli siedmiu nauk świeckich: gramatyki, retoryki, dialektyki, matematyki, geometrii, astronomii i muzyki. Jako bakałarz sporządził w roku 1489 ciekawy traktat przyrodniczo-lekarski.

Ukończywszy studia filozoficzne wykładał przez dwa lata (1492—1493) jako docent na tymże wydziale. Następnie prawdopodobnie pracował w kancelarii królewskiej w charakterze pisarza. Pozyskawszy łaskę króla otrzymał wraz z niejakim Janem Otthą z Nowego Sącza pozwolenie na poszukiwanie metali na terenie całego kraju. W ten sposób stał się jednym z krajowych pionierów — poszukiwaczy bogactw górniczych w Polsce. W końcu XV stulecia wyjechał za granicę, zapewne do Włoch i tam uzyskał tytuł doktora medycyny. Następnie wraca do kraju. Imię Adama z Bochenia stało się sławne po odbyciu publicznej dysputy naukowej, na której obecny był sam król Jan Olbracht i jego brat Aleksander Jagiellończyk. Za panowania tego drugiego zostaje zaszczycony godnością nadwornego lekarza.

Jako lekarz królów polskich Aleksandra i Zygmunta I Starego cieszył się ich wielką łaską. Był on również autorem trzech dialogów łacińskich granych na dworze królewskim Zygmunta I. W roku 1504 przeprowadził w Akademii Krakowskiej nostryfikację swego dyplomu doktorskiego czyli postępowanie zmierzające do uznania dyplomu uczelni zagranicznej za równoważny z dyplomem krajowym.

Będąc profesorem Wydziału Lekarskiego Akademii Krakowskiej Adam z Bochenia daje się poznać jako wybitna indywidualność. W latach 1510—1511 piastuje godność rektora uczelni, przyczyniając się wydatnie do jej rozkwitu. Jego staraniem wprowadzono wiele ważnych i korzystnych dla uczelni reform. Postanowiono, żeby każdy lekarz wykształcony za granicą dawał dowód swych zdolności, wiadomości i umiejętności wobec Wydziału Lekarskiego Akademii Krakowskiej.

Nostryfikacja obcych dyplomów była wówczas aktualnym zagadnieniem, bo tak w XV, jak i w XVI wieku wielu Polaków wyjeżdżało na studia medyczne do obcych, w szczególności włoskich uniwersytetów i tam uzyskiwało stopnie doktorów medycyny. Zwłaszcza w Padwie kształciła się znaczna ilość Polaków.

Dzięki Adamowi z Bochenia usunięto praktykowany dotąd przy wstępowaniu na uczelnię zwyczaj otrzęsin (system żakowskich prób, jakim był poddawany przez studentów kandydat na studia) i zaprowadzono wiele ulepszeń w bursach akademickich. Starał się on też pozyskać dla Akademii Krakowskiej wybitnych uczonych zagranicznych. Jego zasługą było m. in. pozyskanie dla Wydziału Prawa jurysty hiszpańskiego G. Quadrosa.

Ówcześni lekarze polscy, a w tym również trwale lub okresowo związani z Akademią Krakowską, byli przede wszystkim lekarzami-praktykami. Nie zawsze profesorowie i wykładowcy Wydziału Lekarskiego pisali i ogłaszali prace z dziedziny nauk medycznych. W XV i początkach XVI wieku z nazwiskami profesorów-lekarzy częściej łączą się prace należące do filozofii lub przyrodoznawstwa. Tak też było w przypadku Adama z Bochenia. Uczony ten — jako jeden z niewielu profesorów Akademii Krakowskiej — zajmował się alchemią, która zapewne w bardzo małym zakresie była wykładana wówczas na Wydziale Lekarskim tej uczelni.

W głównym traktacie filozoficzno-moralistycznym Adama z Bochenia poświęconym obronie małżeństwa, napisanym około 1505—1507 roku, zajmował się on analizą nieśmiertelności. Głosił, że prawdziwie nieśmiertelna jest ludzkość jako całość, a szczególnie przeznaczeni do nieśmiertelności są osobnicy stanu małżeńskiego, bowiem przyczyniają się do nieśmiertelności gatunku ludzkiego. Ta ciekawa i oryginalna teza, związana z założeniami humanistycznego poglądu, zwrócona była przeciwko przewadze bezżennego stanu duchownego nad świeckim. Postępowy traktat Adama z Bochenia, napisany pięknym stylem wzorowanym na Cyceronie, jest wymownym dokumentem początków polskiego renesansu.

Adam z Bochenia — zasłużony profesor i rektor Akademii Krakowskiej oraz lekarz królewski rodem z Łowickiego — zmarł w Krakowie w roku 1514.

HENRYK SZUBERT

★

Rozjaśnić zorzeńkę,
Mignąć błyskawicą —
Tak złożyć podziękę
Z lat dawnych zwodnicom.

Nie pytać, skąd nagle
W borze głosów tyle,
Uwierzyć, że smagłe
Wróciły na chwilę.

Choć tu cztery ściany,
Stół i trochę książek —
Koń gdzieś rozhukany,
W grzywie ileż wstążek!

Wejść w wysokie trawy,
Doczekać się nocy —
Nie wrócić z wyprawy,
Zaszczekać lub zawyć
I upaść w niemocy!

CHWILE W WILNIE

To się już nigdy nie powtórzy:
upalna pogoda czerwcowa,
nad Wilenką u gór podnóży
można zacząć wszystko od nowa,

gdy się jeden drobiażdżek spełni:
ot, o lat się cofnąć czterdzieści,
przystawać na mostkach, bo pełnia,
filomackie powtarzać pieśni.

Tu się wciąż spotykają wieki
różnych stylów mając oblicza,
przez małe sprawy i przez wielkie
przepływa Wilia Mickiewicza.

Upalna pogoda czerwcowa,
czasem przez nią wietrzyk przenika...

JAN HUSZCZA

Ulica jaka to? Zamkowa?
Głupcze, nie pytaj przewodnika!

Miasto jak dom rodzinny bliskie
sercom różnym, odmiennym mowom —
niech przypomnę świa'ynie wszystkie,
w których różne głoszono słowo!

Niech dzwony usłyszę ze wspomnień,
gdy spiże budziło dzwonienie —
przed katedrą stanę, a do mnie
bliskich zmarłych zbliżą się cienie

Nim rozbuszują się zamiecie,
niech wróci rym: „akacje — stacje"...
Z miasta, gdzie Ostrobramska świeci,
wrócę do Łodzi? Czy też na W a k a c j e?

6—9. VIII. 1979

STRONICZKI Z DZIEJÓW

Z północy na południe
z południa na północ
ze wschodu na zachód
z zachodu na wschód
przedzierali się
przez puszcze
przez rzeki
przez piaski
przez grobelki na bagnach
dążyli do siebie
by się wzajem mordować

Więcej prześwitów niż puszczy

Zamiast rozległych bagien
zamiast chłonnych piasków
zimne nadoko radaru

Obory, 23. VII. 78

★

Zmarła
pani Dowmontowa
Jakież to ona
zrzucała
z patelni
na spragnione talerze
placki kartoflane
Grube liście złote
o kształcie dłoni
d r a n i k i

(Razem z tarką
i to słowo
przywiozła
do Giżycka)

15. VIII. 78

BOGACTWO

Ludzie,
i ja marzyłem o bogactwie,
choćby o chwilowym bogactwie!

...Otrzymać zawiadomienie,
że nadeszła paczka,
tak, tak:

na moje imię i nazwisko.
Prawie biec 20 km na pocztę,
odebrać paczkę o wadze
20 kg.

Po wyjściu z aułu,
po przejście paru klm,
usiąść wśród piołunów na piasku,
rozpruć trochę szwów,
wymacać zawartość.
I potem
nie na plecach
ale nieść na radości tę paczkę:
10 kg pęczaku,
5 kg pszennej mąki,
3 kg tłuszczu,
2 kg cukru...
Albo:
15 kg mąki,
3 kg ryżu,
2 kg smalcu,
cukru mogłoby nawet nie być..
Albo:
zamiast smalcu
mógłby być cukier...
Albo:
zamiast 3 kg ryżu
mógłby być tylko 1 kg
i... i... i... do tego
ćwiarteczka spirytusu!
A cóż w tym niby niezwyk[illegible]

Ludzie,
i ja marzyłem o bogactwie,
choćby tylko o krótkotrwałym bogactwie.
Ludzie powojenni,
jak wy nic nie wiecie o bogactwie!

3. XII. 1977

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

MAŁY PANORAMICZNY ŚPIEW

... albo co tu winien Adamek? Adamek vel Frano, również Szczylem, Gnojem i Siusiakiem nazywany przez idealne makiety swoich koleżków, usmarkanych równie długo i świecąco. On nawet dostąpił, że go odstąpili, kiedy nowa jego rola okazała się paskudnym podobno, Nieznanym.

Pamiętasz, ty ćmo? Ty cieniu coś przylazł nie wiadomo skąd wspomnieniem. Teraz my oba równe w latach. Co z tego, że ty z Tamtej strony w kamień skrobiesz i chciałbyś jeszcze się czegoś o życiu dowiedzieć. Ty, coś kamienie białe zobaczył jak ptaki.

... kiedy przyszła do mnie i powiedziała: „Nie bój się nic", to już całkiem byłem jak ten kret pod krzakiem angrestu.

Kiedy została ze mną, żebym już na zawsze wiedział, nie umiałem wypuścić łzy. Otwarłem tylko gębę i zaraz na dolnej wardze usiadła mucha. Okropnie zaswędziało. A wszystko co słyszało ucho, wydawało się waleniem w watowaną ścianę — gdzie wejdziesz — ale nie wyjdziesz — nie przejdziesz. I pomyślisz: — No, Frano — teraś już jest pewnikiem jako robak, a nie synko matki, nie pomocnik ojca.

Siedzisz se na ławie jak ten gipsowy pies, którego buchnąłeś z straganu w odpust Jakuba. Siedzisz, a wszyscy chodzą, coś robią — a ciebie jakby nie było.

Trwasz nieruchomo i myślisz sobie, czy w niedzielę matka weźmie szmatę, zetrze kurz. Najpierw z gipsowego psa, później z ciebie. Mogłaby też dać się wysmarkać. O, zebrało się już tego. I kichać się chce. Ale raptem przez zatkany nos poczujesz parujący barszcz i babka wsunie ci łychę w palce, pochyli się z talerzem. Będzie tak schylona nad tobą jak stare opiekuńcze drzewo, a ty drugą łapą, wolną od łyżki, postanowisz wybierać najlepsze na świecie skwarki z tej zupy, co pewniej niejeden nie doznał. O, dobrze ci będzie, że już nigdzie lepiej.

Nawet o babce nie pomyślisz Zawsze była babką ta kobieta z rękoma jak skręcone gałęzie akacji. Dobrą. Drugą po skwarkach.

A przecież słyszałeś jak ojciec gadał do mamy: „Ta stara wariatka wstydu robi na całą wieś!".

Podsłuchałeś wtedy babkę, bo wyszła na drogę przed chałupę, a okna w izbie były otwarte. Wielkanoc przecież. To babcia stali przed dużą topolą i mówili: „Wysoki Sądzie, co jemu? Chłopoki strzelali jak zawdy. Śmiechu beło jak chto ogłuchneł, ale zeby zaro świat dzieciokei zabierać?!'

Nie wiedziałeś wówczas nic, a może czułeś jak ludzie, którzy przyszli litować się nad tobą, którzy wyszli na drogę, na ganki, na dziwowisko. Na pewno wiedziałeś tępy ból.

Cały tłum zebrał się wokół babki, kiedy tak klęczała na żwirówce i modliła się pełną żalu skargą do Drzewa Boga Wysokiego Sądu.

„...toć to głupi dzieciok — słyszałeś — to za co? O Jezu!" — ciągnęła wywody, które miały ci przywrócić zdolność oglądania tego, na co dotychczas patrzyłeś albo nie. Kiedy była ochota.

Przywieziony na motorze felczer nic nie chciał robić poza szybkim opatrunkiem. Później przyjechało auto rozklekotane i zabrało cię tam, gdzie wszystkie głosy były obce. A chociaż czułeś w nich życzliwość, to jednak boczyłeś się myśląc sobie, że co swoje ludzie to zawsze swoje... A ci tutaj wyprawiali z tobą różności, że nawet już nie wiedziałeś czy dzień jest czy noc, czy w ogóle jest cokolwiek.

Głos, który powtarzał się częściej niż inne, należał chyba do kogoś ważnego, bo mówili — panie doktorze — a on, ten głos, odpowiadał: — tak siostro. O, to był dopiero przyjemny głos. On też owinął ci głowę w bandaże, uszczypnął w policzek, wziął nawet za rękę i rzekł: „Powiedz mi teraz Frano, jak to było?".

Ty z początku nie wiesz, o co mu chodzi. Nie widzisz nic, ale to chyba nie powód, dla którego warto by zajmować tak ważną osobę.

Głos jej. Taki jak cukierek jakiego lizałeś tamtego roku na pasterce. O, nigdy nikt nie mówił tak do ciebie. Nawet ksiądz.

Pilnuj się Frano — pomyślałeś — pilnuj się i głupoty nie gadaj. Ano — powiesz — Wielkanoc nastała. Słońce poczęło letko odgrzewać. Zrobiło się takie ciepło. Chłopoki zaczęli latać w kosiulach a Hynio Bolków zezuł kamasze i lecioł w dyrdy na bosoka bez wieś, jaz go matka jego złapała i dała po łbie, bo zwidziała się jej księdzowa bryka w oddali. A na tę porę kobiety wymietły drogę i posypały żółtkowym piochem i wapnem obłożeły kaminie przy drodze zasadzone.

Taki był ładny ten piosek, a tero na nim Hyńkowe bosoki leżały odbite, że mietłamy kobiety równały.

Oj, ostro się strzelało jak ksiądz przyjechoł. Jak pojechoł, też. Jeszcze może lepi. Ale nie wiem, jak to ze mną się stało. Ta ciemność. O, strzelalim. Kto z czego miał. Ja miałem nieźle, bom ładny możdzierz wykopał pod stodołą i strzegłem go, żeby w święta te zadziwić tych pierdasów.

Błysnęło. Ale najpierw chłopaki coś podpolały. Chyba uciekli. Jo, głupi, patrzałem na ptoki co leciały wysoko, ale zara gdzieś zapadły jak huknęło. Tak jakby kto zerwał te ptoki i cisneł o ziemię. A tyle jeszcze miałem kalichlorku po kiejdach. Nowy możdzierz też miałem bo tato mi na prezynt zrobił...

Siedzisz se teraz Frano na ławie obok gipsowego psa. Jak ten gipsowy pies albo wypchana sowa.

Kiedyś z Cyganami jeździł dziad i sprzedawał wypchane sowy. Wyjmował z worka i sprzedawał. Frano, chciałeś mieć wypchaną sowę, ale tatu spuścił z łańcucha Czarnego — psa, który był okropne bydlę na obcych.

Wspominasz teraz Frano, że Czarnemu nie trzeba było tłumaczyć, o co chodzi. Cyganki cofnęły się od furtki, a dziad natrętnie trząsający swoją torbą przed twoimi oczami, nie zdążył. Czarny rozerwał mu długą kapotę i jeszcze chciał, ale zaraz od ojca dostał kija i ździebko spłoszył się. Dziad pognał na drogę, gubiąc swoje ptaki. Pies nie gonił go już, tylko zaczął bawić się rozrywaniem sów na strzępy. Mruczał przy tym z uciechy jak głupi. Oj, Frano, beczałeś wtedy, aż tatu musieli ci dołożyć tego samego kija co psu.

Później za stodołą od południowej strony grzebałeś szpadelką. Obok innych grobów grzebałeś.

Leżał tam kret, szpak, małe koty, głowa wróbelka i partyzant. Właściwie partyzantem był stary wojskowy guzik. Ale wszyscy mieli swój krzyż z badylków i kopczyk w sam raz tak jak na prawdziwym cmentarzu.

Starsi zajmowali się prawdziwym cmentarzem, a ty, Frano, zostawałeś zawsze obejścia pilnować. Teraz ten twój cmentarzyk powiększył się. Leżało tam jeszcze coś, o czym nikomu nie powiedziałeś.

Kopiąc pierwszy grobek toto znalazłeś. Podłużne i zardzewiałe. Wiedziałeś, co to może być. O, wiedziałeś — bo kiedyś był we wsi milicjant na rowerze i przywiózł ze sobą duże płachty papieru — i w chałupie u sołtysa pokazywał te rzeczy tam narysowane jak żywe.

Jak żywe. Po to, by wyciskać bolesne łzy.

Na Wielkanoc miałeś im pokazać dopiero huk. Teraz wkładając do świeżego dołka resztki każdej sowy, mruczałeś modlitwy — tak samo jak proboszcz „.... wieczne odpoczywanie racz im dać Panie".

... dzisiaj nawet beczeć nie możesz, bo nie ma przed kim. Sobie? Oprócz babki mało kto gada z tobą. Czasem mama wciśnie cukierek na język, to znów tatu, powie: „Wiesz, Frano, na polu były sarny. Ale zara uciekły".

Skąd tatu może wiedzieć, że prawie nie pamiętasz, jak wygląda sarna. Widziałeś raz taką jedną, co ją polowniki wieźły i tyle twojego, że na krótką chwilę błyśnie ci kiedy obraz łba sarniego, wleczonego z językiem przy ziemi, skapującą z niego krwawą pianą, wizerunek oczów, akuratnie takich, jak miał Jezus Chrystus, co w babcinej książce wielkie drzewo na Golgotę targał z promieniami słońca, które w hufnale się zamieniały do przebijania ludzkich serc.

Ale tatu myśli, że wiesz jak wygląda sarna. Nie wyprowadzasz go z błędu. Co masz być już taki głuptak? Chłopaki też nie przychodzą. Sąsiadki pokłóciły się z mamą i powiedziały: „Moje nie będą się ta bawić ze ślepokim!" Od tej pory podchodzili chłopcy pod okno tej izby, gdzie siedzisz na ławie, i wykrzykiwali ci od ślepoków. Babcia przestawała wtedy mówić różaniec i porywając miotłę wylatywała na ganek.

— Łajdoki! Przyńdzie i wom na kuniec! — krzyczała, a te dupki jak wróble toczyły się przez ogródek na drogę. Stara wracała wolno na swoje miejsce, zaczynając od nowa przerwaną modlitwę.

Myślisz sobie — nie ma co narzekać, Frano, w tej izbie ogrzewanej słońcem, gdzie muchy z gorąca niemrawo brzęczą. Zapach smażonej słoniny pomieszał się z pachnidłem peonii i bratków; wszystkich pachnących rzeczy, tych które w ogródku i które od łąk, od pasieki w ogrodzie.

Woń smażonej słoniny pomieszała się z zapachem nagrzanej ziemi, po której jadą do tej pory skrzypiące wozy. Tą drogą odjeżdża ojciec Wraca tędy. Ale ty, Frano, wychodzisz też na świat, żeby poszukać ptaków, które zasklepiły ci oczy, które całego cię później zabrały.

Myślisz sobie, Frano — warto z nimi pogadać. Bierzesz w brudne palce trochę skwarków na poczęstunek i idziesz. Za tobą podąża babka z wielkim różańcem, wypchana sowa i gipsowy pies, który jest jeszcze lepszy od Czarnego, co mu się wlazło pod pociąg... A to wszystko wygląda tak, jakby motyle płakały, lecąc między obdartymi drzewami listopada, lądując na zamrożonych głowach słoneczników.

Tak cię nagle wspomniałem, Frano, w tym mieście wielkim.

Oto stoję na ruchliwej ulicy. Człowiek się do mnie nie śmieje. Nie umie? Boli coraz bardziej?

Znalazł mnie ojciec stary, kiedy stałem na brzegu miasta, bojąc się wyjść z kręgu światła w nieznaną noc. Znalazł mnie. Żebym wracał — mówił. Kochamy cię — mówił. Jesteś tchórzem — szeptali przechodnie, pogrążając się w ciemność. Stanowcze ich kroki mocno było słychać na asfaltowych przestrzeniach. Śmiertelny ich krzyk bulgotał mi w gardle jak gniew łańcuchowego psa.

— Chodź do domu — rzekł ojciec. Poddałem się jego słowu, bo tej nocy musiałem z kimś być.

Wracaliśmy. Szliśmy brzegiem miasta nie odzywając się do siebie. Po pewnym czasie spotkaliśmy ludzi, którzy uprzejmie zaprosili nas do swojego domu z małym ogródkiem.

Przyprószony pyłem z kominów fabrycznych, lekko świecił jaśmin. Chociaż to już był tylko nagi krzak — jednak świecił jaśmin.

Tam gdzie szliśmy z ojcem, było bardzo daleko, więc skorzystaliśmy z okazji odpoczynku. Posadzono nas przy skromnie zastawionym stole. Domownicy bardzo przyjaźnie odnosili się do nas.

— Wszystko nam jedno, kim jesteście — mówili.

— Wy jesteście dobrymi ludźmi — powiedziałem, chcąc chociaż częściowo okazać im, że tak jest naprawdę.

— Nie, my jesteśmy prości ludzie. Dzisiaj umarł nasz dziad. Leży teraz nasz dziad w drugim pomieszczeniu na drzwiach, bo stolarz zwlekał i nie dowiózł na czas trumny. Taki u nas zwyczaj, zapraszać do stołu przechodzących nocą ludzi. Może któryś z podróżnych jest świętym?

— A nie boicie się takich ludzi? — spytałem.

— My jesteśmy prości ludzie. My nie boimy się. Dobre uczynki usiłujemy spełniać. Za żywych, za grzesznych, za tych, którym już nic nie pomoże...

— Pójdziemy już — zaproponowałem ojcu.

— Prosimy was, zostańcie z nami jeszcze — zaczęli nalegać. Będziemy zaraz śpiewać psalmy. Kobiety będą jadły cukierki. Mężczyźni będą pili wódkę. Psalmy bardzo mogą się naszemu dziadowi przydać.

— A co będzie — pytam — jak pochowacie waszego dziada, później pierwszego z was i tak do końca, aż wszystkich w tym domu wyniosą?

— My prości ludzie. Niczego się nie boimy. Jemy cukierki, pijemy wódkę i śpiewamy psalmy. Nasze dzieci są dobre. Nie zabieramy im nic ponad to, co zbędne. Nie dajemy im wódki. Z umiarem jedzą cukierki i śpiewają psalmy.

Spojrzałem na ojca. Jadł śledzia, siedząc między dwiema kobietami w starszym wieku. Jedna trzymała w ręku butelkę, druga kieliszek — i nazywały go dobrym gościem. Troskliwie nakładały następnego śledzia i napełniały maleńki kieliszek barwionym spirytusem.

Kilkoro dzieciaków odświętnie ubranych i wystrzyżonych grzecznie siedziało przy stole. Każde z nich z wielką uwagą zajmowało się swoim śledziem. Z precyzją zegarmistrza oddzielali ości od mięsa, nie zwracając na nikogo uwagi.

My z ojcem zjedliśmy już po pięć kawałków ryby, a oni wszyscy biedzili się jeszcze nad jednym. Wreszcie ojciec najadł się. Zerknął na mnie.

— Pora iść. Noc długa, a tam dokąd idziemy, daleko — powiedział wstając od stołu. Dziękujemy za gościnę — powiedziałem wstając od stołu, którego blat przykryty był białym prześcieradłem, sztywnym od krochmalu.

Wódka, śledzie, chleb i sól i dobrzy ludzie. I psalmy. Sto lat śpiewają psalmy, a dziad ich leży tam na drzwiach, zamiast godnie w solidnej i przystosowanej do tego skrzynce.

Jeden z domowników jakby odgadł moje myśli, bo rzekł spokojnie: — Jest to skrzynia i list zarazem. Wkłada się tam naszego dziada i wysyła list na pocztę. Wtedy jest miło, kiedy wszystko robi się na czas. Dziad nasz umarł, a stolarz, sam pan wie, zwlekał z dostawą i okazało się, że trzeba czekać. I jak tu panie nie płakać?

Staliśmy z ojcem nie wiedząc, co powiedzieć.

Najstarszy, ten który rozmawiał z nami od początku, wstał również.

— Ciężko na sercu, jak miły gość dom opuszcza. Wasza wola, drodzy, ale może przed odejściem, przeżegnacie ciało?

W tej chwili wstał jakiś młody człowiek o wyglądzie ciężarowca, choć równie skromny jak reszta. Wstał i pochylając się nad stołem, uderzył w twarz młodą kobietę, siedzącą naprzeciwko niego. Kobieta jakby zdrętwiała. Nieporuszyła się, tylko po bladych policzkach popłynęły łzy. Żuła do tej pory pierwszy kęs śledzia i chyba już długo w milczeniu płakała.

— Dlaczego pan to zrobił?! — krzyknąłem zaskoczony, ale młody człowiek usiadł spokojnie. Posypał soli na kromkę chleba i nalał sobie wódki. Najstarszy z domowników skłonił się przede mną.

— Wybacz gościu — wyszeptał i znów ukłonił się.

— Chodźmy już — ciągnął mnie za rękaw ojciec.

— Musimy przecież przeżegnać ciało — mówię. Zgodnie z wolą tych zacnych ludzi. W podzięce za gościnę.

— Niech taką mają chociaż zapłatę — zgodził się ojciec. Tak, trzeba uszanować wolę tego domu.

Najstarszy ukłonił się jeszcze raz i ruszył pierwszy w stronę biało pomalowanych drzwi. Otworzył je. Stanął na progu i gestem ręki zapraszał do środka.

W pokoju płonie duża świeca. I tylko ona. Niewiele widać. Ale zobaczyć można. Cztery krzesła. Na rogach krzeseł niewielkie drzwi. Na drzwiach leży maleńki chłopczyk. Odświętnie ubrany jednoroczny człowiek.

Domownicy stali na progu w szeregu i kłaniając się, żegnali nas w ten sposób.

Weszliśmy z ojcem w noc, trzymając się za ręce weszliśmy. Powietrze rozluźniło trochę żołądki.

Podążaliśmy małą ulicą jak ptaki nocy, trzymając w palcach płonące zapałki, podążaliśmy wydzierając się na całe gardło ...my jesteśmy prości ludzie, ...jemy cukierki, ...pijemy wódkę, ...śpiewamy psalmy, ...aż noc ta skończyła się u stóp naszych, kiedyśmy żegnali swoje wspomnienia.

(Fragment większej całości)

ZNACIE...? NO TO OBEJRZYJCIE

Od prawej: Janina Jabłonowska (Pani Jowialska), Zdzisław Mrożewski (Pan Jowialski), Piotr Krukowski (Ludmir). Foto: R. Łucyszyn

Trudno przypuścić, czytając dziś lub oglądając, **„Pana Jowialskiego"**, że o sztukę tę toczyły się zajadłe spory. Stanisław Tarnowski nazwał Jowialskiego „najmilszym w świecie staruszkiem", Eugeniusz Kucharski znów orzekł w opracowywanym przez siebie wielkim wydaniu dzieł Fredry, że życie Jowialskiego to „życie nikczemne". Wdał się w ten spór Boy, wykpiwając Kucharskiego, który twierdził, iż **Fredro** chciał „Panem Jowialskim" wstrząsnąć sumieniem rodaków i dać po upadku powstania listopadowego satyryczny obraz Polski, w której panoszą się marazm życiowy i zgrzybiałość ducha.

Teatry na ogół nigdy nie miały wątpliwości, co do tego, że „Pan Jowialski" jest beztroską komedią z arcysympatycznymi, choć nie najmądrzejszymi bohaterami. Nie ma też wątpliwości, że **Jerzy Kreczmar**, reżyserujący tę sztukę w **Teatrze Nowym,** tak właśnie rozumiał intencje Fredry. Ot, bezproblemowy obrazek z życia galicyjskiego dworku, łagodnie satyryczny, ze świetnymi rolami. Przekonujemy się o tym już, zasiadłszy w krzesłach widowni, oglądając malowaną kurtynkę; całą zresztą scenografię i wszystkie kostiumy rozegrał **Jan Polewka** w pastelowych, przesyconych światłem barwach.

W tej też tonacji grają aktorzy, różnie tylko rozkładając akcenty. Jowialski występującego gościnnie na scenie TN **Zdzisława Mrożewskiego,** rzeczywiście jest najmilszym w świecie staruszkiem. Pogodny, pełen ciepła, rządzi swym domem z poczuciem humoru; można wierzyć, że zna potencjał umysłowy każdego z domowników — lubi jednak ludzi takich, jakimi są, bawi się nimi, aranżując i prowokując zabawne sytuacje, aby nie umrzeć z nudów. To on jest właściwie reżyserem przedstawień domowego życia, uwielbianym przez panią Jowialską, wpatrzoną w niego jak w obrazek. **Janina Jabłonowska** niewielką rólkę małżonki zagrała tak, że wierzy się jej, iż całe życie spędziła szczęśliwie i pogodnie; cała jest promienna, wewnętrznie rozchichotana. Oboje grają nie szalejąc po scenie, szanując tekst, podając go nieomylnie, lekko i cienko. **Mrożewski** z kpiarskim błyskiem w oku, obserwując rozwój sytuacji, jakby badając cóż jeszcze zabawnego można z niej wykręcić. (Jakże świetnie mówi Fredrowskie bajki, jakby od niechcenia, prawie potocznie, a jak wyraziście!). **Janina Jabłonowska,** znów, ciągle jest zdumiona życiem i swoim scenicznym małżonkiem: czegóż to on nie wymyśli!

Ludwik Benoit pchnął postać Szambelana w stronę groteski. Zagrał ją tak, że prawie widać z jakim trudem myśl przebija mu się przez zwoje mózgowe; pomaga jej w tej syzyfowej pracy rękoma, językiem, oczami, nogami, całym ciałem. Benoit świetnie czuje Fredrę — umie się bawić jego tekstem, umie go smakować. Robi na scenie rzeczy nieprawdopodobne, ale jednocześnie jest w swym zachowaniu naturalistycznie wręcz prawdziwy: tak się zrósł ze swoją rolą, że najbardziej nawet karkołomnych gierek nie odbiera się jako wykoncypowanych.

Czuje się to natomiast u Janusza — **Janusza Kubickiego.** Kubicki, taki świetny jako Papkin w niedawnej „Zemście", teraz, w „Panu Jowialskim", nie zdążył na premierę osiągnąć pełnej formy. Skonstruował postać prawidłowo, nawymyślał bardzo wiele różnych chwytów i chwycików, póz i zachowań mimicznych; cóż jednak, kiedy, nie tak jak u Benoita, nie doprowadził jeszcze do pełnego stopienia się z tworzoną postacią. Gra Kubicki jakby w nałożonej masce — czuje się wysiłek czyniony przez aktora, aby tę maskę uczynić twarzą postaci, ale to jeszcze nie to. Być może brakuje tylko kilku spektakli, aby ten wysiłek zaowocował; właściwie nie wątpię, że tak będzie, pamiętając Kubickiego z innych ról, choćby jako Krasickiego w „Wielkim Fryderyku", czy właśnie Papkina.

I wreszcie **Hanna Bedryńska** jako Szambelanowa. Dragon w spódnicy, choć przecież dragon nie pozbawiony wdzięku. Ech, wierzy się, wierzy, że potrafi trzymać męża w ryzach (kto wie, czy właśnie nie dzięki niej Szambelan zgłupiał doszczętnie, a jego ulubione zajęcie — konturowanie klatek i chwytanie ptaszków nie jest odgrywaniem się na ptakach za to, co zrobiła z nim żona). W sumie — kolejna bardzo dobra rola w tym przedstawieniu.

Młoda para: Helena **Krystyny Tolewskiej** i Ludmir **Piotra Krukowskiego,** gra wykorzystując swój najważniejszy atut — młodość. On — żywiołowy, rozhukany, inteligentny, (niewykluczone, że takim był w swej młodości pan Jowialski), gra Ludmira z temperamentem, ani się spostrzegając, że sam wpada w zastawione przez siebie sidła i że z żartu, z przekory, zrodzi się w rozpędzie miłość. Ona — panna romansowa, z głową nabitą przeokropną literaturą, choć i na swój sposób rezolutna. Trzeba **Krystynie Tolewskiej** zaliczyć na plus tę rolę, choć, gdyby mnie ktoś ciągnął za język, to bym powiedział, że odczuwałem chwilami deklamacyjność, wypowiadanie, a nie mówienie tekstu.

Uznanie należy się **Jackowi Chmielnikowi** za rolę Wiktora, bardzo niewdzięczną, napisaną bez pomysłu. Nietrudno poczuć się w niej aktorowi jako osobie bez sensu pałętającej się po scenie; nie odczuliśmy tego u Chmielnika, a to już duży plus. Lokaja gra **Ryszard Stogowski.** Dragonami są **Jan Kasprzykowski** i **Tadeusz Paradowicz.**

Warto zatem odwiedzić dom pana Jowialskiego w Teatrze Nowym. Publiczność bawi się serdecznie, chwilami do rozpuku. Reżyser nie daje się nam nudzić i po pierwszej scenie, rozgrywanej na proscenium, przedstawienie toczy się wartko, sprawnie. Szczęśliwym pomysłem **Jerzego Kreczmara** jest podział spektaklu na dwie części — dzięki temu zyskuje on na zwartości.

JERZY KATARASIŃSKI

Teatr Nowy w Łodzi, Duża Sala. Aleksander Fredro, „Pan Jowialski". Reżyseria Jerzy Kreczmar, scenografia Jan Polewka, Premiera 13 lipca 1980 r.

PROZA

WIERNOŚĆ POWOŁANIU

Najnowsza powieść Władysława Rymkiewicza posiada interesującą poetykę — stanowi przemieszanie powieści realistycznej z literacką parabolą. Jej fabuła opowiada o dziejach i upadku kliki, która opanowała instytucję o znamiennej nazwie „Undiqua" (co po polsku znaczy: skądkolwiek, ze wszystkich stron, wszędzie). Próby walki z kliką, nieśmiałe zrazu, z upływem czasu przybierające wszakże na sile, doprowadzają w końcu do upadku przestępczej grupy, czyniącej szkody materialne i wypaczającej charaktery. Właśnie, można by „Fatamorganę" określić mianem powieści-studium, bo przedmiotem wnikliwego zainteresowania pisarza stają się ludzkie postawy, od strachliwych, asekuracyjnych, po desperacko odważne. Rymkiewicza interesują przy tym m o t y w y zachowań poszczególnych typów ludzi (dla czytelniczego ułatwienia jakby podzielonych na kolejnych narratorów), i to nie tylko w aspekcie zwalczania kliki, bądź umywania rąk. Interesują go szersze uwarunkowania tego wszystkiego, co językiem publicystyki określa się jako stosunki międzyludzkie. Wpływ środowiska, rodziny, wychowania, towarzyskiej konwencji, znajomość socjotechniki — wszystko to poddaje autor „Fatamorgany" dyskretnej analizie. Jej rezultaty nie są oszałamiająco optymistyczne i być może dlatego ujawniane zostają stopniowo i w dodatku w postaci zmetaforyzowanej: „Są dwie dziedziny w działalności człowieka, w których pośpiech jest szkodliwy i wręcz zabójczy: sztuka i wymiar sprawiedliwości. W jednym i drugim wypadku pośpiech obraca się przeciwko artyście i przeciwko sędziemu. Obie te dziedziny wymagają szczególnej rozwagi, namysłu i cierpliwości. I ogromnej pracowitości".

W książce Władysława Rymkiewicza najciekawsza chyba jest relacja z przebiegu walnego zebrania w spółdzielni „Undiqua". Odbywa się ono w specjalnie do tego celu dostosowanym lokalu: piwnicy-magazynie. Symbolizuje owa piwnica coś w rodzaju podziemnego światka bądź czyśćca. Między uczestnikami toczy się zajadła dysputa, lecz milkną dyskutanci, gdy głos zabiera Pierwszy Sprawiedliwy o symbolicznym znów nazwisku Majak. To on wygarnia całą prawdę o stosunkach w „Undiquie". To on demaskuje i przygważdża ostatecznie przeciwników. To on triumfuje. Lecz triumf nie jest pełny, boć Majak nagle znika: „Ostatecznie dochodzę do wniosku, jak niektórzy dowcipnisie na zebraniu (ale byli tam przecież między nimi ludzie poważni), że wszystko, co się działo w suterenie, mogło się wydać omamem, halucynacją, fatamorganą z racji okropnych warunków (ciasne pomieszczenie, duchota, piekielny rumor wdzierający się przez uchylone okno wychodzące na podwórze, gdzie huczały i trzaskały jakieś warsztaty naprawcze). Trzeba by mieć stalowe nerwy i nie byle jaką odporność, żeby wytrzymać taką wielogodzinną nasiadówkę i nie ulec urojeniom w duchocie i zgiełku słuchając bajd nie z tej ziemi". Czy Majak był postacią realną, czy tylko hipostazą — tego pisarz nie rozstrzyga. Sprawę tę pozostawia indywidualnemu uznaniu czytelnika. Uzmysławia w ten sposób potrzebę zbiorowej e k s p i a c j i, bez której żadne społeczeństwo, a nawet nieliczna zbiorowość, nie może się przecież obejść.

Życie społeczne — daje do zrozumienia autor „Fatamorgany" — wytwarza określone konwencje i konwenanse, które tyleż pomagają, co przeszkadzają, bo po prostu utrudniają autentyzm porozumienia, tłumią szczerość gestów, ograniczają pierwotne odruchy. Lecz przekroczenie wspomnianych konwencji okazuje się niebezpieczne, najczęściej zaś społecznie szkodliwe, o ile nie towarzyszy temu szlachetny cel poprawy świata. Taki jest sens przypowieści Władysława Rymkiewicza, przypowieści pouczającej, przestrzegającej, posługującej się pogodnym dowcipem, ale i zjadliwą ironią.

Jednakże powieść ta nie jest bezwzględnym potępieniem niedomogów świata tego. Jak powiada profesor Henryk Elzenberg-junior: można przegrać bitwę u przylądka d'Antibes, a mimo to nie będzie on wcale mniej piękny. Przed przykrymi zasię niespodziankami powinien zabezpieczać nas filozoficzny humor, czy inaczej mówiąc intelektualny dystans wobec nieprzewidywalnych i niemiłych przy tym przejawów życia. Na ewidentne zło należy jednak reagować bezwzględnie, zgodnie z wezwaniem narratora czwartego: „Stanęliśmy przed odwiecznym problemem walki ze złem i podważyliśmy wszechwładzę kliki. Przekonaliście się państwo, że nie jest to jakaś demoniczna i niezwyciężona mafia. Są to zwykli ludzie, którzy różnią się od was tym, że opanowała ich żądza szybkiego zbogacenia się waszym kosztem, i że obciążeni są bagażem przewinień, za które poniosą odpowiedzialność sądową. A więc są oni w znacznie gorszej sytuacji niż wy, panowie i panie, którzy zgrzeszyliście tylko biernością i niezdecydowaniem". Myliłby się jednak ten, kto by sądził, iż w „Fatamorganie" mamy do czynienia z wyraźnym podziałem na czarne i białe charaktery. Z wyjątkiem przywódców kliki wszystkie postaci są skomplikowane, niejednolite. Nie chodzi bowiem o łatwość oskarżeń czy faryzejską dumę z własnej niewinności. Najłatwiej narzekać i oskarżać, nic nie czyniąc ku naprawie Rzeczypospolitej. W pewnym momencie przedzierzga się więc powieść Władysława Rymkiewicza w m o r a l i t e t. Potwierdza to również przypomnienie godnej ponownego upowszechnienia sentencji znakomitego oratora, księdza Piotra Skargi: „Cały naród szkalować, familie gotów wszystkie pokazać, że są cygany, filuty, krótko mówiąc, cały świat prócz niego zepsuty".

Zbyt może często korzystałem z cytatów. Ale bo też i „Fatamorgana" do tego prowokuje — sporo w niej sentencji, porzekadeł, aluzji. Służą one wzmocnieniu ideowej wymowy utworu, uwypuklają dydaktyczną funkcję literatury.

Pojawienie się na rynku księgarskim „Fatamorgany" zbiegło się z jubileuszem osiemdziesięciolecia urodzin pisarza, w którego bogatym i zróżnicowanym dorobku dominują dwa nurty: historyczny i współczesny. Rzecz znamienna — po problematykę współczesną Władysław Rymkiewicz sięga coraz częściej, wnikliwie studiując zwłaszcza życie obyczajowe w jego bogatych, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych, przejawach. Nie daje czytelnikowi gotowych recept, lecz potrafi go zmusić do refleksji. Po prostu pozostaje niezmiennie wierny swemu literackiemu powołaniu.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Władysław Rymkiewicz, „Fatamorgana", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980, nakład 20.000 + 320 egz., cena zł 17.

POEZJA

DROGI I MANOWCE POEZJOWANIA

Ostatnia dekada przyniosła znamienny zwrot w krystalizowaniu się postaw poetów współczesnych. Należy to odnieść przede wszystkim do ludzi młodego i średniego pokolenia. Wcześniej bowiem, gdy żyli i byli czynni wielcy twórcy i teoretycy awangardy, poezja zdawała się być uwikłaną bez końca w spór z paseistami. Poeci młodszych generacji czuli się w większości niejako zobowiązani do manifestacji nowatorskich, do podejmowania nowych i nowych, choć nie zawsze udanych eksperymentów. Opamiętanie przyniosło zwrot w kierunku wytyczonym przez autentystów. Tak można by bardzo ogólnikowo określić tendencje dominujące we współczesnej poezji. Z braku miejsca trudno byłoby odwoływać się do egzemplifikacji, zaś uogólnienie powyższe jest nieco schematyczne. Jednakże można się nim posłużyć przy okazji omówienia dwu tomów zaprezentowanych nam niedawno przez Wydawnictwo Łódzkie. Chodzi o tomy wierszy Mirosława Kasjana — **Progi** i Ryszarda Zamojskiego — **Układ zamknięty.**

Mirosław Kasjan poeta średniego pokolenia, któremu nieobce było doświadczenie wojenne, który wcześniej bywał zafascynowany także nowatorstwem zdaje się wracać do źródeł w poszukiwaniu przyczyn sprawczych takiego a nie innego kształtu naszej codzienności. Tak więc w wielu wierszach wraca do krainy dzieciństwa, ciemnych stron świata. Zabieg ten jest mu potrzebny jako odskocznia do refleksji typu moralistycznego. Jednakże dramatyzm tych wierszy w wielu przypadkach zagłusza zbytnie rozgadanie, nadmiar słowa I niezależnie od wagi problematyki prezentowanej w **Progach** czujemy się rozczarowani. Autor bowiem zapomniał o obowiązku poety — zagęszczenia słowa, wdał się w dość jałowe wyliczanki zdarzeń i zjawisk, posługując się z reguły językiem dyskursywnym. **Progi** nas rozczarowały, choć spodziewaliśmy się, że trzeci w dorobku autora tom wierszy przyniesie nam pełną prezentację możliwości poetyckich interesującego skądinąd poety. Język tej poezji mało precyzyjny, mglisty rozmazał próbę przekazu niebanalnego przecież doświadczenia egzystencjalnego Mirosława Kasjana.

Ryszard Zamojski niespełna dziesięć lat młodszy od Kasjana, legitymujący się skromniejszym dorobkiem poetyckim autor zaprezentował nam zbiór wierszy zwarty, jednolity urzekający odkryciami poetyckimi wysokiej rangi. Dominującą cechą tej poezji jest jej malarskość. Wynika to niewątpliwie z doświadczeń profesjonalnych autora. Lecz nie jest to malarskość pojmowana dosłownie w sensie sprawnego operowania obrazem poetyckim. Stykamy się raczej z próbą malarskiej analizy obserwowanego świata, obraz staje się pretekstem do głębszej refleksji nad oglądem zjawisk. Bohater liryczny tych wierszy to tylko słabe ogniwo w wielkim ciągu losu człowieczego. Ale zdaniem Zamojskiego nie kruchość, znikomość kondycji jednostki poddanej ciśnieniu czasu jest najważniejszym elementem egzystencji, lecz świadomość miejsca bohatera lirycznego w procesie tworzenia nowych wartości kulturowych. Tak więc Ryszarda Zamojskiego fascynuje przede wszystkim poszukiwanie, tropienie tożsamości bohatera lirycznego, odnajdywanie go w przeszłości także dla przyszłości. Trudno byłoby mówić o sprawności warsztatowej autora, prezentuje on nam coś więcej. Charakterystyczną cechą jego poezji jest dążenie do zwięzłości, precyzja języka, umiejętne i funkcjonalne stosowanie przemilczenia, jako ważnego czynnika tej poezji, sceptycyzm bohatera lirycznego, ironia i dystans do opisywanych zjawisk. Zamojski potrafi znakomicie stawiać pytania, pobudzać czytelnika do współtworzenia wiersza, do odpowiedzi, których sam nie daje, gdyż na postawione przez autora pytania każdy będzie musiał odpowiadać inaczej, na miarę własnego doświadczenia egzystencjalnego i intelektualnego.

Trzeba wreszcie podkreślić, że Ryszard Zamojski uprawiający raczej lirykę refleksyjną, filozoficzną zaprezentował nam jednocześnie niepośledniej rangi wyobraźnię. Umiejętność syntezy tych elementów przypomina w najlepszych wierszach praktyki Zbigniewa Herberta. Rzecz prosta nazwisko to zostało przywołane dla zilustrowania zjawiska nie zaś wykazania jakichkolwiek zależności.

Poezja Ryszarda Zamojskiego to zjawisko ważne, autor zdobył się na własną artykulację i potrafił określić swą odrębność w panoramicznym obrazie młodej poezji polskiej. Myślę, że jego związki z autentyzmem są niezaprzeczalne i one określają postawę tego poety.

Konfrontacja postaw autorów omawianych tomów wykazuje, że nie można poddać się żywiołowi słowa nie kontrolowanemu przez intelekt, jak to miało miejsce w przypadku Kasjana. Szkoda, bo nie należy zapominać, iż autor **Progów** w poprzednich tomach, choćby w **Gałązce mroku** prezentował nam obiecujące utwory — zapowiedź oryginalną, nie pozbawioną uroków poezję. Tyle tylko, że tamten tom ukazał się już kilkanaście lat temu.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

SPARTAKIADA MILIONÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

tacji komunistów z siłami prawicy. Krwawo stłumione strajki i aresztowania były bolesnym ciosem, ale nie załamały rewolucyjnego ducha. W maju 1921 roku praski zjazd lewicy socjaldemokratycznej powołał do życia Komunistyczną Partię Czechosłowacji. Nieco wcześniej powstał Związek Młodzieży Komunistycznej.

Po I wojnie światowej lewicująca młodzież rozwijała swoje zainteresowania sportowe w ramach Robotniczych Zrzeszeń Wychowania Fizycznego (Delnicke Telovychovne Jednoty). Ćwiczono z myślą o — mającej odbyć się w 1921 roku — olimpiadzie. Ale niepokoje i rozłam w partii socjaldemokratycznej nie ominęły również społeczności sportowców. W maju 1921 roku — w rezultacie odłączenia się rewolucyjnej części młodzieży i działaczy od reakcyjno-mieszczańskiej reszty członków TDJ — zawiązała się Federacja Robotniczych Zrzeszeń Wychowania Fizycznego (FDTJ). Na swoim zjeździe wystąpiła ona z inicjatywą zorganizowania I Spartakiady.

Podczas gdy w Pradze, na Maninach, wspólnymi siłami KPCz i Związku Młodzieży budowano stadion, w całym kraju tysiące młodych ludzi przygotowywało się do udziału w Spartakiadzie.

— *Nie wszyscy mieli środki na to, by wziąć udział w praskiej Spartakiadzie* — wspomina dzisiaj Maria Svabova, długoletnia działaczka KPCz, jedna z organizatorek I Spartakiady — *U nas, w Czeskiej Skalnicy, we Wschodnich Czechach, po prostu składaliśmy się; jedni dawali więcej, inni nie dawali nic... Kostiumy szyłyśmy we trzy dla wszystkich za darmo. Ćwiczyliśmy wieczorami i w niedziele, często chodząc do innych, nieraz odległych klubów. Zapowiedź samodzielnego występu na Maninach zachęciła i tych, którzy do tej pory w ogóle nie ćwiczyli, często starszych towarzyszy. Robiliśmy to wszystko z miłości do sportu, a jedyną nagrodą miał być występ w Pradze. Jechaliśmy tam na odkrytych konnych wozach, spaliśmy na słomie w budynku kina. Nikt wtedy nie myślał o luksusie. Wszystko było skromne, ale nasze, proletariackie...*

Wtedy, w Pradze, mówiliśmy sobie, że przyjdzie dzień, kiedy będziemy swoją spartakiadę przygotowywać w spokoju. Gdy będziemy mieli piękne boiska i sale gimnastyczne. O tym wszystkim, co dziś jest urzeczywistnione, wtedy mogliśmy tylko śnić...

Dzisiaj samych tylko sal gimnastycznych ma Praga 210, a wszystkich sportowych boisk różnego typu i wielkości 750. W całej Czechosłowacji są ich dziesiątki tysięcy. Masowy ruch sportowy ludzi pracy organizuje Czechosłowacki Związek Wychowania Fizycznego (Cs. Svaz Telovychovy), który posiada w całej republice swoje ośrodki — kluby („jednoty").

Centrum kształcenia specjalistów w tej dziedzinie jest Wydział Wychowania Fizycznego na Uniwersytecie Karola w Pradze. Mieści się on na malowniczej Małej Stranie, w barokowym Pałacu Michnów, po roku 1918 przystosowanym do nauczania w-f i nazwanym Domem Tyrsów, od nazwiska dr Miroslava Tyrsa — twórcy towarzystwa „Sokół". Obok tego zabytkowego pałacu znajduje się dziś kompleks obiektów sportowych oraz Muzeum Wych. Fiz. i Sportu.

W Pradze też istnieje najstarsza czechosłowacka sala gimnastyczna — Telocvicna TJ Praha, wybudowana jeszcze z inicjatywy założycieli „Sokoła": Fügnera i Tyrsa w latach 1852—1863. Sala ta w swym pierwotnym kształcie służyła aż do lat 30. Od tego czasu jest modernizowana i nadal wykorzystywana.

Najsłynniejszym jednak obiektem sportowym w Pradze, a i w całej CSRS, jest stadion na Strahovie, dzieło kilku generacji. Już w latach 20 praski magistrat urządził na jednym z licznych wzgórz, niedaleko słynnej petrzyńskiej wieży obserwacyjnej, specjalne miejsce do zbiorowych gimnastycznych wystąpień, których początki sięgają w Czechach 1862 roku. Obecny stadion został wybudowany w 1933 roku, a od tego czasu jest wciąż powiększany i ulepszany. Dziś cały sportowy areał Strahova zajmuje 40 hektarów. Boisko największego stadionu — przeznaczone wyłącznie do celów spartakiadowych — ma rozmiary 300×200 metrów. Zmieściłoby się na nim 8 piłkarskich boisk i 16 tysięcy ludzi! Jest to bez wątpienia największe „cviciste" świata. Celowo użyłem czeskiego słowa, bowiem dla szeregu tutejszych terminów z dziedziny w-f nie mamy w Polsce równie precyzyjnych, jednowyrazowych określeń (np. „telovychova", „telocvicna", „jednota", „cvicenec" i in.).

MÓWIĄ ORGANIZATORZY

Jaroslav Smetiprach — wiceprezes Głównego Komitetu CSS 80:

— *Już w roku 1975, wkrótce po zakończeniu poprzedniej Spartakiady, zaczęto opracowywać cele i koncepcję CSS 80. W szkołach pierwsze ćwiczenia nowego spartakiadowego programu zaczęły się w czerwcu 1979 roku. Objęły one tysiące nauczycieli i uczniów...*

Doc. dr Jiri Zizka — naczelnik CSS 80:

— *Udział dorosłych w Spartakiadzie jest dobrowolny, a sposobność uczestniczenia ma naprawdę każdy. Spartakiadę organizujemy dla naszych obywateli, przede wszystkich dla szerokich rzesz młodzieży.*

J. Smetiprach:

— *Najważniejszym zadaniem masowo organizowanych ćwiczeń było wzbudzenie trwałego zainteresowania nimi we wszystkich ogniwach Związku Wych. Fizycznego, w szkołach i internatach, we Svazarmie (to odpowiednik naszego LOK — przyp. T. S.) i w wojsku.*

Petr Horak — kierownik programu młodszych uczniów z województwa południowoczeskiego:

— *Jeszcze w ubiegłym roku zdecydowana większość chłopców nie potrafiła skakać przez skakankę. Podczas spartakiadowych ćwiczeń chłopcy zdobyli tę umiejętność, ćwiczyli nawet w rytmie. Ale nie tylko tę. Nauczyli się np. sprawnie podawać piłkę, co jest podstawą koszykówki. Systematycznie ćwiczone „pompki" i inne ćwiczenia siłowe wzmocniły ich wytrzymałość fizyczną, ich siłę. Dla rozwoju 10—14-letnich chłopców trening ten miał ogromne znaczenie.*

J. Smetiprach:

— *Pragnę podkreślić, że celem Spartakiady nie jest, aby bramę Strahova przekroczyła jak największa liczba ćwiczących. Sens organizowania spartakiad tkwi w masowym rozwoju wychowania fizycznego. Spartakiada zaczęła się od konkursów i masowych akcji sportowych oraz turystycznych. Z samej Pragi w imprezach tych wzięło udział przeszło 30 tys. obywateli, przy czym 90 procent stanowiła młodzież. Taka popularność sportu i turystyki w najszerszych kręgach społecznych to nie tylko wynik tradycji, ale także dobrej współpracy w tej dziedzinie między szkołami, a organizacją pionierską i związkami zawodowymi.*

Inż. Julius Chvalny — przewodniczący Głównego Komitetu CSS:

— *Przygotowanie uczestników finału Spartakiady było tak dobre, że mogliśmy zrezygnować na Strahovie z części planowanych prób. To oczywiście zasługa organizatorów „małych spartakiad" w całym kraju. Ze spartakiady na spartakiadę rośnie społeczne zainteresowanie czynnym wypoczynkiem, fizyczną aktywnością po pracy czy nauce. W tym roku były całe miasta, całe powiaty, które dosłownie żyły spartakiadą. A co pozostanie? To zależy od każdego z nas. Wypracowaliśmy w ciągu minionych lat zasady masowego ruchu w-f, teraz chcemy, aby znakomity nastrój tegorocznej Spartakiady towarzyszył dalszym działaniom, aby dzisiejsze przykłady pociągnęły innych.*

GORĄCE DNI

Na pięć dni przed finałem Spartakiady 181 pociągów przywiozło na 9 praskich dworców uczestników ze wszystkich stron Czech i Słowacji, od Szumawy do Tatr. Samych wykonawców widowiska na Strahovie było 138 tysięcy, ale dołóżmy jeszcze prażan, a liczba wszystkich ćwiczących zamknie się imponującą liczbą 180 tysięcy! W ciągu czterech dni wszyscy oni wystąpili na Strahovie (gdyby mieli wystąpić naraz, potrzebowaliby dziewięćdziesięciohektarowego boiska...).

Spartakiada 1980 była wielkim egzaminem dla organizatorów, dla społeczeństwa stolicy. Trzeba było znaleźć w mieście 380 punktów noclegowych dla uczestników (głównie w szkołach i internatach) oraz 350 stołówek. Wokół strahovskiego stadionu otwarto 170 punktów sprzedaży, a w całym handlu praskim zatrudniono w tym czasie dodatkowo 1000 ludzi.

Z powodu Spartakiady na 4 dni zmieniono rozkład jazdy tramwajów i autobusów. A co to znaczy dla Pragi, mającej nadal jeszcze — mimo budowy metra — poważne kłopoty z transportem, wie każdy, kto chociaż kilka dni spędził w Pradze i korzystał z jej komunikacji, zwłaszcza w obrębie starych dzielnic.

Pierwszego dnia finału CSS 80 — 26 czerwca — praskie metro, które zazwyczaj przewozi niewiele ponad pół miliona ludzi dziennie, pobiło rekord, przekraczając milion pasażerów (dokładnie: 1 mln. 335 tys.) Światowe rekordy przewozu biły w tych gorących dniach praskie tramwaje i autobusy, które w ciągu godziny przewiozły 32 tys. ludzi. Ostatniego dnia CSS, kiedy z 220-tysięcznych trybun stadionu wylała się wielka rzeka widzów, autobusy startowały ze Strahova co 8 sekund.

Na Spartakiadę — oprócz uczestników i organizatorów — ściągnęły do Pragi dziesiątki tysięcy ludzi. Turystów chyba nikt nie zdołał policzyć. Samych tylko oficjalnych gości Spartakiady przybyło z zagranicy 400, dziennikarzy — przeszło 200. Dla nich wszystkich co wieczór iluminowano najpiękniejsze praskie zabytki położone przy tzw. drodze królewskiej na Hradczany.

W całym areale Strahova rozwieszono 1600 flag, kolejnych kilka tysięcy stanowiło świąteczny akcent na domach i ulicach Pragi. Do skomponowania barwnego symbolu CSS na stadionie użyto 56 tys. różnych kwiatów. Przeszło 10 tys. pocztówek dziennie wysyłali uczestnicy i goście z samego tylko Strahowa.

W przeddzień inauguracji ogólnopaństwowej spartakiady kasy posiadały bilety tylko na miejsca stojące. Próby generalne i cztery spektakle obejrzało z trybun milion widzów. Kilka dalszych milionów za pośrednictwem interwizji. Specjalne programy nakręciły telewizje RFN, Anglii, Kanady i Japonii. Zagraniczni operatorzy twierdzą zgodnie, że niewiele jest na świecie równie fotogenicznych widowisk.

DALEJ NIŻ SPORT

Jedną z wcześniejszych powojennych spartakiad oglądał znany radziecki pisarz Borys Polewoj. Przyjechał do Pragi z kamerą, a dziennikarzom powiedział:

— *Filmuję w nadziei, że tam gdzie mi będzie brakować słów, będzie za mnie mówił film...*

Foto: ČTK

Nazywa się czasem Spartakiadę *największym na świecie teatrem plastyki i ruchu.* Mimo nieco patetycznej nuty, nie ma w tym określeniu przesady. Spartakiada przemawia do wyobraźni — podobnie jak świadczące o jej gigantycznych rozmiarach liczby — lecz wymyka się opisom. Stanowi jedyny w swoim rodzaju splot klasycznej gimnastyki, sportu, muzyki, ruchu, plastyki i tańca. Jest wielką manifestacją. A przy tym — przekracza granice sportu. Tak jak — nie zawaham się przed tym porównaniem — olimpiada...

Gdy z wysokich trybun Strahova patrzy się na gładkie jeszcze, przyposminające pole przed bitwą, sześciohektarowe boisko, rodzi się najpierw pytanie, jak w tej olbrzymiej, niezabudowanej przestrzeni orientują się ludzie.

W piasku boiska tkwi prawie 14 tysięcy znaków. Są w 4 rodzajach, a 5,5 tys. jest ruchomych. Zmieniało je w ciągu tygodnia ostatnich prób dwa razy dziennie 80 ludzi. Im bardziej skomplikowany był program, tym więcej wymagał znaków. Te znaki nazywane są „latarniami na strahovskim morzu". W sześciu spośród 15 programów obsadzone były wszystkie znaki: dokładnie 13 tys. 824. I pomyśleć, że nie tak dawno jeszcze używano do tego celu zwyczajnych proporczyków wetkniętych w ziemię...

Próby na stadionie trwały od czwartej rano do drugiej w nocy. Tylko jeden raz pobudka o pierwszej w nocy okazała się niepotrzebna. Padał deszcz, boisko rozmiękło. 10 tysięcy kobiet wróciło do łóżek.

Na finał Czechosłowackiej Spartakiady złożyły się dwa programy (widowiska). Każdy z nich trwał przeszło 4 godziny, każdy powtórzono dwukrotnie. W pierwszym wystąpiło 90 tys., w drugim — 87 tys. ludzi.

Spartakiada i jej finał na strahovskim stadionie połączyły różne pokolenia i warstwy społeczne. W jednym rytmie ćwiczyli ludzie różnego wieku i rozmaitych zawodów (tak było np. w kompozycji kobiet i w programie mężczyzn). Na płycie praskiego stadionu doszło jeszcze do tego zróżnicowanie terytorialne i... narodowościowe. Słyszało się tu język węgierski, niemiecki, polski i ukraiński, oprócz — rzecz jasna — czeskiego i słowackiego.

Spartakiada weszła do wszystkich domów. Występowały całe rodziny. Osobny program przewidziano np. dla wspólnie występujących rodziców i dzieci. Jedna z uczestniczek, Regina Hejtmańska z Kralik ćwiczyła w programie starszych uczennic:

— *Moja mama* — powiedziała — *ćwiczy na Spartakiadzie w programie kobiet, tata i stryj w programie mężczyzn, siostrzenica w programie rodziców z dziećmi, a bratanek wśród starszych chłopców...*

Cały 4-dniowy program finału Spartakiady wypełniło 15 kompozycji choreograficzno - muzyczno - gimnastycznych. Nad opracowaniem każdej z nich pracował osobny zespół autorów, w tym kompozytor muzyki. Przygotowując poszczególne kompozycje autorzy układów brali pod uwagę wiek, mentalność, poziom sprawności fizycznej i możliwości ruchowych, cechy fizjologiczne wykonawców. I tak na przykład uczniowie z niższych klas, którzy przedstawili własny program, biegali, skakali przez skakanki, rzucali piłkami, przeciągali linę, wykonywali proste ćwiczenia gimnastyczne. Członkowie Svazarmu wnieśli na Strahov 45 ton żelaza w postaci półkolistych konstrukcji, które kładzione i stawiane pod różnymi kątami składane w koła, toczone i zatrzymywane były jedynym rekwizytem bardzo złożonych gimnastycznych ćwiczeń 6 tysięcy uczniów szkół przemysłowych i gimnazjów. Ćwiczenia te — prowadzone w jednym wspólnym rytmie — ocierały się właściwie o granice akrobacji.

Coś zupełnie innego zaprezentowali studenci. Niemal 6-tysięczny tłum młodych ludzi nie tyle ćwiczył, co tańczył na piaskowej płycie. Pogodny, lekki, pełen zmiennych rytmów i temp program składał się z bardzo różnych elemetów. Była w tym i klasyczna i sportowa gimnastyka i taniec ludowy. Były elementy klasycznego tańca, jazzgimnastyki oraz... dyskoteki.

Jeszcze inaczej ćwiczyli żołnierze. Opis ostatniego koncertu (bo tak to można nazwać) wielkiego finału CSS 80 — w niedzielę, 29 czerwca — trzeba by właściwie zacząć od końca. To znaczy od chwili, gdy 14 tysięcy obnażonych do pasa młodych ludzi wbiegło z głośnym „hurra" na płytę stadionu i rozpoczęło niezwykły sprint na wyznaczone miejsca. Tymczasem znaki topiły się właśnie w wodzie, a ściślej mówiąc w błocie, w jakie po paru minutach ulewy zamieniła się — tak starannie pielęgnowana — piaskownica Strahova. To był widok, którego się nie zapomina! W ciągu 40 sekund biegu 14 tysięcy żołnierzy bezbłędnie odnalazło w tym błocie swoje miejsca, po czym jak gdyby nad stadionem nie przechodziła właśnie burza z deszczem — rozpoczęło ćwiczenia. A nie były to zwyczajne skłony, przysiady czy wymachy rąk, jakie znamy z repertuaru gimnastyki porannej! Twórcy programu zaplanowali bardzo skomplikowany układ. Wystarczy powiedzieć, że przewidywał on m. in. 284 małe piramidy, 24 wielkie, różnego rodzaju ćwiczenia siłowo-wytrzymałościowe (indywidualne, parami i zespołowe), a na koniec akrobatyczne loty 480 żołnierzy z 96 żywych piramid. W narastającej ulewie na coraz bardziej miękkim boisku, wykonanie tych ćwiczeń wydawało się wręcz niemożliwe...

W tych bojowych warunkach żołnierze przeszli strahovską próbę jak jeden mąż, dając dowód fizycznej sprawności i hartu, choć kiedy pierwsi z nich szykowali się w finale programu do skoku, cały stadion wstrzymał oddech...

Każda z 15 kompozycji niosła w sobie zaplanowane, literackie treści. Na żółtej płycie stadionu rozkwitały z kompozycji ludzkich ciał ruchu i barw kostiumów symbole rewolucyjnych tradycji, pracy, miłości, wiary w pokój. Przedszkolacy i uczniowie młodszych klas na przykład — przy końcu swojego programu — pozdrowili pięcioma białymi kręgami nadchodzącą Olimpiadę. W czasie prologu pierwszego programu (do muzyki „Symfonietty" Leosa Janacka) 3 tysiące dziewcząt i chłopców utworzyło pięć wielkich kręgów: starosłowiański symbol słońca, dzisiaj — symbol porozumienia i zjednoczenia. Z kolei studenci przypomnieli stary symbol tradycji akademickich, tworząc z zespolenia ruchu i turkusowego oraz białego koloru olbrzymią sowę. Lekko ruszające się ciała tych, którzy skomponowali „oczy sowy", sprawiały wrażenie, jak gdyby mrugała ona do widzów...

Spartakiada — tak jak Olimpiada — przekracza granice sportu. I jak nowożytne olimpiady zwraca myśl do czasów, kiedy nic nie zamącało dobrowolnego sportowego wysiłku, nie zakłócało harmonii i piękna sportowej rywalizacji — do antycznej Grecji, kolebki europejskiej kultury i olimpijskich igrzysk. W takim właśnie duchu utrzymywane są wypowiedzi gości, którzy oglądają Czechosłowacką Spartakiadę.

Wiktor Ivonin — wiceprzewodniczący Komitetu Sportu ZSRR powiedział:

— *Finał programu chłopców — pozdrowienie olimpijskiej Moskwy — był symbolem tego, że olimpijski rok nie jest poświęcony jedynie wąskiej elicie sportowców. Przecież do olimpijskich ideałów należy również masowy rozwój wychowania fizycznego. Ten finał był żywym symbolem głębokiego związku między podstawą, a wierzchołkiem sportowej piramidy...*

Pierre Seurin — przewodniczący Międzynarodowej Federacji Wychowania Fizycznego:

— *Gdyby istniał złoty olimpijski medal za spartakiady, musiałaby go otrzymać Czechosłowacja. Oprócz wysokiego poziomu sportowego pokazują uczestnicy spory zmysł artystyczny, bez którego nie byłoby można opanować programu. To co się dzieje na płycie stadionu jest fantastyczne, przekracza technikę gimnastyki. Czechosłowacka Spartakiada pięknie realizuje ideę: sport dla wszystkich.*

Ugo Ristori — przewodniczący Włoskiej Unii Masowego Sportu:

— *Moim zdaniem, jest Czechosłowacka Spartakiada najpiękniejszym masowym sportowym zgromadzeniem na świecie...*

Doc. dr Miroslav Slavik — ordynator kliniki ortopedycznej w Pradze — Bulovce:

— *Kłaniam się przed wykonawcami, autorami programów i organizatorami. Także — jako lekarz...*

TOMASZ SOLDENHOFF

40 JUBILEUSZOWY

Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

Kiedy we wtorek, 8 lipca, wjeżdżam do Wrocławia, widzę, że miasto żyje tą wielką imprezą.

Eliminacja Rajdowych Samochodowych Mistrzostw Europy Kierowców, Mistrzostw Krajów Demokracji Ludowej o Puchar Pokoju i Przyjaźni i Mistrzostw Polski. Przed wjazdem na Stadion Olimpijski, gdzie mieści się biuro rajdu, olbrzymi transparent: Witamy zawodników! Na ulicach kolorowe plakaty i mapy trasy. Parging pełen kolorowych samochodów, wszędzie mnóstwo ludzi. Tu parkują wozy serwisów i organizatorów. Gwar, ruch, kolor, natychmiast wciągają w atmosferę. Wszędzie czuje się radosne podniecenie. Biuro rajdu i prasowe znajdują się w pomieszczeniach pod trybunami stadionu. Tu wre gorączkowa praca. Zgłaszają się kierownicy ekip po odbiór dokumentacji dla zawodników.

W sekretariacie pani Ewa Jagodzka dwoi się, żeby jak najszybciej wydać niezbędne dokumenty. Na stanowisku obok służba kwatermistrzowska załatwia zakwaterowania. Dalej stolik pań-tłumaczek. Cztery dziewczyny pracują prawie non stop. Przekładają w językach: angielskim, francuskim, niemieckim, hiszpańskim, włoskim, greckim, szwedzkim, rosyjskim i bułgarskim. Ekipy z 17 krajów zgłosiły się do rajdu. Pracy moc. Wchodzę do biura prasowego, na razie jeszcze tu cicho. Wita mnie szef prasowy rajdu, pan Kazimierz Łuczak. To on będzie się troszczył o to, aby dziennikarze otrzymali w porę niezbędne informacje, zabezpiecza łączność i komunikację. Gotowe są już dwie kabiny teleksowe, zamówiony autokar. Za kilkanaście godzin sala biura prasowego stanie się miejscem najciekawszych spotkań. Wywiadów udzielą najlepsi kierowcy Europy: Hiszpan — Zanini, Francuz — Ragnotti i polski zawodnik, Błażej Krupa.

Rozglądam się po sali. Jedna ze ścian zajęta przez plakaty reklamujące STARA-266. Zastanawiam się właśnie, co robi reklama samochodu ciężarowego na rajdzie.

— Ten wóz jest naprawdę wspaniały, zdobył złoty medal na Międzynarodowych Targach w Poznaniu i tytuł Wicemistera Exportu w bieżącym roku. Jeżeli pan sobie życzy, mogę udzielić szerszej informacji. — W ten sposób inżynier Jerzy Bukowski, rzecznik prasowy FSC w Starachowicach budził zainteresowanie dziennikarzy samochodem ciężarowym.

Po kilku minutach rozmowy poznałem wszystkie parametry rewelacyjnego STARA-266. Firmę „Star" reklamuje na rajdzie polskim sześciu najlepszych kierowców europejskich. Zaproszeniem na przejażdżkę STAREM kończymy rozmowę.

Na chwilę wpada do biura zagoniony komandor sportowy, Jerzy Borowicz. Znamy się od lat. Namawiam go na chwilę odpoczynku.

—Rajd z czterema gwiazdkami, najwyższy stopień trudności. Dodatkowe, nieprzewidziane utrudnienia, sprawia aura. W Wałbrzyskiem ogłoszono stan powodzi, zalało drogi główne, trasa E-12 w kilku miejscach nieprzejezdna. Wysłano helikopter na zwiad. Z jego pokładu wiceprezes Automobilklubu Dolnośląskiego, Andrzej Postawka, określi, czy zachodzi konieczność zmiany trasy. Istnieje obawa, czy serwisy towarzyszące zawodnikom będą w stanie dostarczyć paliwo. Jerzy Borowicz twierdzi, że zmiana trasy to ostateczność. W tym rajdzie startują najlepsi i muszą dać sobie radę nawet i w takich warunkach.

Czekając na informacje z helikoptera rozglądam się za kierownikiem trasy, Andrzejem Doboszem. On zna każdy kilometr tego rajdu. Znajduję go ślęczącego nad mapą.

— Andrzej, przejadą?

— Jeżeli nie zacznie znowu padać, to powinni. Mam informację, że woda opada. Czekam jeszcze na komunikat meteo.

— Co z serwisami, skoro główne drogi są zalane?

— Muszą szukać objazdów.

— Jak? Połowa dróg zamknięta dla rajdu, i tak trzeba nadkładać setki kilometrów, żeby zdążyć na punkty.

— Chłopie, nie truj! To jest rajd z czwórką. Tu wszyscy muszą być znakomici: zawodnicy i kierowcy serwisu. Na tym polega wielkość tej imprezy.

Idę przekazać tę informację ekipie łódzkiej. Powodów do radości, jako kierownik ekipy Automobilklubu Łódzkiego, nie widzę.

Dysponujemy trzema wozami serwisowymi dla naszej załogi: Jerzy Szulc i Bogdan Lech. Pierwszy etap rajdu liczy 923 kilometry. Tyle muszą przejechać zawodnicy. A serwisy?

Ustalamy taktykę. Mietek Błaszczyński ma samochód Renault-Gordini (szybkie auto). Zabierze wózek z oponami i wyjedzie 4 godziny przed startem na pierwszy punkt.

Grześ Niśkiewicz w tym samym czasie wyjeżdża na drugi punkt Fiatem 125 P. Obaj spotkają się na trzecim, gdzie jest najtrudniej dojechać. Któryś z nich musi się tam znaleźć. Ja dopilnuję startu i zapewniam obsługę na wyścigu w Sobótce. Ustalamy dalsze punkty serwisowe. Co 180—200 kilometrów musimy spotkać załogę. Jeżeli zawalimy, nie dojadą z powodu braku benzyny.

Ostatnie godziny przed startem. Pustoszeją parkingi przed hotelem, wozy serwisowe już zaczęły swoją pracę. Zawodnicy jeszcze wypoczywają. Ich sukces leży w rękach tych, o których nikt nie pisze: w złotych rękach mechaników. Idę na płytę stadionu, gdzie „drzemią" potężne smoki na kołach: Porsche, Alfa Romeo, Mercedes, Polonez 2000, Skoda. Jakże maleńkie wyglądają wśród nich nasze maluchy — Polski Fiat 126 P. Rasowi kibice wiedzą, że te maleńkie auteczka są bardzo szybkie i radzą sobie z trudami najcięższych rajdów. Dosiadają ich znakomici polscy kierowcy: Lubiak, Szerla, Pinis, Ryndak.

Powoli zapełniają się trybuny stadionu. Na płytę wchodzi zespół sędziowski z przewodniczącym, Florianem Tomeckim. Są obserwatorzy FIA (Federacja Sportu Samochodowego), Henri Schmitz i Lucien Coiffe.

Jest Jerzy Szymaniak, przewodniczący zespołu rajdowego Głównej Komisji Sportu Samochodowego. Dziś pełni funkcję szefa ekipy narodowej.

Nadchodzą zawodnicy. Ryk pierwszych maszyn, kierowcy rozgrzewają silniki, piloci porządkują dokumenty.

Na podium wjeżdża samochód z numerem 1, Porsche 911 SC. Za kierownicą faworyt rajdu, Francuz Bernard Beguin z pilotem Jean Jacques Lenne.

Z dwójką, na takim samym samochodzie, Hiszpanie: Antonio Zanini i Sabater Sanchez, dwukrotny zwycięzca Rajdu Polskiego. Czekam na Polaków. Numer 8 — Błażej Krupa i Piotr Mystkowski na samochodzie Renault 5 — Alpini. Rozmawiałem z nimi przed startem. Obecnie są na ósmej pozycji w mistrzostwach Europy. Zrobią wszystko, żeby ten rajd ukończyć. Znani są ze strategii walki. Piotra Mystkowskiego koledzy nazywają komputerem. Notuje wyniki przeciwników i w każdej fazie rajdu wie, na jakiej są pozycji. Podjeżdża Polonez 2000. Fabryczna załoga FSO: Maciej Stawowiak, Ryszard Żyszkowski. Pokazuję im zaciśnięty kciuk na szczęście i muszę już jechać na trasę. Obowiązki szefa ekipy nie pozwalają mi na obejrzenie startu wszystkich aut. Zobaczę ich na wyścigu w Sobótce.

Wyjeżdżamy ze Stadionu Olimpijskiego w szpalerze kibiców i jedziemy tak przez cały Wrocław. Do Sobótki jest około 50 km. Ale, żeby dostać się na metę próby wyścigowej, musimy objeżdżać dookoła. Dopiero po 120 kilometrach osiągamy cel. Tu, po mecie wyścigu, zawodnicy wjadą na punkt kontroli czasu i po otrzymaniu wizy — dalej na trasę. Idziemy oglądać wyścig. Nasz zawodnik ma numer startowy 89, zjawi się dopiero w 90 minut po pierwszym kierowcy.

Teren wyścigu ogrodzony linami. Milicja Obywatelska i ORMO utrzymują wzorowy porządek. Zadanie mają trudne, bo niesforni kibice, nie bacząc na niebezpieczeństwo, chcą stać jak najbliżej drogi. Z daleka dochodzi stłumiony odległością warkot silnika Nadjeżdża samochód organizatora otwierającego wyścig. Sprawdzają, czy trasa jest całkowicie zabezpieczona.

Po kilku minutach jedzie. To już zawodnik. Słychać to po pracy silnika.

Stoję na ciasnym, lewym zakręcie (tzw. nawrocie). Zakręt ma kształt litery V. Już widać światła. Jest Polski Fiat 125 P z numerem 94. Wizg hamulców, jęk skrzyni biegów, krótki poślizg i odjazd. To Michał Chroniowski, który przeciera trasę. Jest pełnoprawnym zawodnikiem w tym rajdzie. Organizator powierzył mu tę funkcję, aby na kilka minut przed wielką stawką mógł postawić sędziów w stan gotowości. Krąży samotnie pięć razy po trzy kilometry. Skończył.

Teraz słychać potężny ryk silników. Są. Jedynka — Beguin, dwójka — Zanini, trójka — Blomqvist, czwórka — Preglisco. Dwa samochody Porsche, Saab 99 i Alfa Romeo — Alfetta (300 kM). Wystartowali w odstępach 5-sekundowych. Na moim zakręcie stłoczyli się. Beguin odważnie, pełnym bocznym ślizgiem wchodzi w nawrót. W momencie, kiedy maska znajduje się równolegle do drogi, w którą skręca, dodaje gazu i z potężnym rykiem silnika znika jak pocisk. Zanini przejeżdża na okrągło, nie pozwala sobie na ślizg. To wytrawny zawodnik. Wie, że ten wyścig, to dopiero początek rajdu. Blomqvist tuż za Zaninim. Ale w samym nawrocie desperackim ślizgiem wciska się Preglisco na Alfetcie i udaje mu się wyprzedzić Saaba 99. Kiedy prowadząca czwórka zbliża się do mnie po raz drugi, Beguin

CLARE,

Dalszy ciąg ze str. 1

Teraz rozumiem, że sprzedawca w barze „Kentucky", który wczoraj pytał mnie jakie miasto jest stolicą Polski, po prostu nie przerabiał w szkole odpowiedniego rozdziału : geografii Europy.

— A reformy szkolnictwa? O ile wiem, zreformowane, jednolite szkoły średnie (comprehensive schools) przyjmujące bez egzaminów wstępnych wszystkich 11-latków, zakładano już w latach 40.

— Reforma nie została do końca wprowadzona w życie — wyjaśnia Clare — *a przejęcie przez konserwatystów i obcięcie wydatków na szkolnictwo przez panią Thatcher zastopowało reformę na dłuższy czas. Nadal, obok zreformowanych szkół średnich występują szkoły starego typu i ogromne różnice w poziomach nauczania. Ponadto tylko 28 procent wszystkich uczniów kontynuuje naukę po ukończeniu 16 roku życia, w tym tylko 8 procent dzieci niewykwalifikowanych robotników.*

Susan podaje herbatę w fajansowych filiżankach. Przychodzi jeszcze zaciekawiony rozmową sąsiad. Już się nie mylę i przy powitaniu nie podaję ręki. Wyspiarze są zawsze zaskoczeni tym kontynentalno-polskim zwyczajem.

Wracamy do naszej rozomwy. Pytam o szkoły i kursy przygotowujące na studia. W samym Londynie jest ich tak dużo, że co roku ukazuje się specjalny informator. Są to z reguły szkoły prywatne, głównie dla cudzoziemców — słyszę w odpowiedzi — pobierające za naukę niemałe opłaty. Poziom tych szkół nie jest zbyt wysoki, niemniej część z nich daje uprawnienia zawodowe lub upoważnia do wstępu na studia. Obywatele brytyjscy dostają się na uczelnię w inny sposób. W uniwersytetach i wyższych szkołach technicznych nie obowiązują egzaminy wstępne. Kandydatów przyjmuje się na podstawie świadectw szkolnych i wyników egzaminów kończących naukę w szkole. Dla uzyskania świadectwa szkolnego na poziomie średnim (O'level) uczniowie zdają egzaminy z wybranych przez siebie przedmiotów. Od kandydatów na studia wyższe wymaga się świadectwa szkolnego na poziomie zaawansowanym (A'level) i specjalizacji w klasie szóstej w jednym z wybranych kierunków, języków starożytnych i historii, języków nowożytnych, matematyki, nauk przyrodniczych, ekonomii i techniki. Świadectwa szkolne kandydaci przesyłają do UCCA (nazwijmy tę instytucję departamentem rekrutacji) wraz z zaznaczeniem uczelni, w której chcieliby studiować. O tym, czy kandydat dostanie się do wybranej przez siebie szkoły wyższej, decydują wyniki zdanych egzaminów szkolnych i wybór przedmiotów egzaminacyjnych. Można na przykład zdać egzaminy z angielskiego, historii i literatury na „B" czyli ocenę dobrą, a wybrana uczelnia przyjmuje kandydatów, którzy zdali na „A", czyli bardzo dobrze a ponadto wymaga jeszcze egzaminu z języka obcego. Departament rekrutacyjny kieruje więc kandydata do takiej uczelni, której wymaganiom odpowiada. Najbardziej elitarne i słynne w świecie uniwersytety w Oxfordzie i w Cambridge przeprowadzają jeszcze dodatkowo bardzo surową selekcję kandydatów. O przyjęcie ubiegają się tu z reguły wychowankowie renomowanych szkół prywatnych: Harrow, Winchester, Eton, w których opłaty roczne wynoszą od 1.600 do 2.000 funtów.

— Jakie kierunki studiów cieszą się największą popularnością? — pytam.

— Kierunki humanistyczne, informatyka i studia artystyczne. Spada natomiast zainteresowanie studiami technicznymi — odpowiada Tom — *W uniwersytetach i w uczelniach technicznych nie ma tak wiele studentek jak w Polsce. Mój przyjaciel, po powrocie z Krakowa, był zdumiony dużą liczbą kobiet na uczelni, zarówno wśród studentek jak i wśród wykładowców. Przeciętnie na czterech studentów przypada w Wielkiej Brytanii jedna studentka. Więcej kobiet studiuje w college'ach przygotowujących do zawodu nauczycielskiego. Dziewczęta wybierają głównie filologię, geografię, historię. Stronią od studiów technicznych. Po ukończeniu studiów, w kraju, w którym na czele rządu stoi kobieta, a królewska korona spoczywa na damskiej głowie, kobiecie bardzo trudno otrzymać pracę zgodną z kwalifikacjami. Panie na kierowniczych stanowiskach spotyka się niezmiernie rzadko, a ich pensje są niższe niż panów przeważnie o połowę. 9 milionów pracujących Brytyjek zatrudnionych jest przede wszystkim jako pielęgniarki, nauczycielki, wychowawczynie, ekspedientki i sekretarki.*

Studia trwają przeciętnie cztery lata. Przeważają tendencje skracania nauki do trzech lat, poza medycyną, która trwać sześć lat. 75 pro-

ma wyraźną przewagę. Zanini nadal drugi, Preglisco jest trzeci, Blomqvist czwarty, ale tuż za nimi cały sznur samochodów, to włączają się do walki pozostali zawodnicy. Jest ósemka — Błażej Krupa. Sprytna mała Alpinka, znakomicie prowadzona. Błażej to znany strateg rajdu, nie pozwala sobie na niepotrzebną brawurę. Jego auto w porównaniu z Porschem czy Alfa Romeo tak się ma, jak maluch do Fiata 125 P. Są Polonezy 2000: Maciej Stawowiak — nr 12 i Tomasz Ciecierzyński — nr 22. Znakomici są kierowcy fabryczni FSO. Dzięki nim te Polonezy niewiele ustępują pola najlepszym europejskim markom. Są dalsze Polonezy — nr 41 i 43. To Janusz Książkiewicz i Józef Ważny. Jest znakomity team braci Wozowiczów na samochodzie WAZ. Coraz ciaśniej na trasie wyścigu. Kibice, zaskoczeni przejazdem pierwszych maszyn, ochłoneli już. Sprawdzają numery zawodników z listami startowymi. Gorącymi oklaskami nagradzają przejazd każdej polskiej załogi. Ulubieńcami publiczności stają się: Tomasz Ciecierzyński i Józef Ważny. Ich Polonezy tańczą na drodze. Są piękne w płynnym ruchu pokonywania krzywizny. Szaleje na swoim Fiacie Marek Karczewski .W powietrzu czuć spaliny, paloną gumę i ten cudowny dla samochodziarza zapach rozgrzanego silnika. Ludzie są upojeni, ta walka coraz bardziej wciąga.

Nagle, tuż przed zakrętem, walczy o utrzymanie się na drodze Ford Escort z numerem 23. Pękła mu opona. Gwałtownie hamuje. Zatrzymuje się na lewym poboczu. Zawodnik jadący tuż za nim ratuje się gwałtownym manewrem w prawo. Jęk grozy, kiedy auto w ostatniej chwili ominęło barierę z opon, oddzielających drogę od głębokiego rowu. Tymczasem załoga Forda w błyskawicznym tempie zmienia koło. Publiczność dopinguje ich oklaskami. Skończyli, wskoczyli do wozu i dziękując za brawa, wspaniale, poślizgiem pokonali zakręt.

Samochody jadą teraz olbrzymim łańcuchem. Na trzykilometrowej trasie znajduje się jednocześnie ponad 50 aut. Odstępy między nimi to skracają się, to wydłużają. Tworzy to wspaniałe wrażenie kolorowego, drgającego, pędzącego z wielką szybkością węża.

Muszę przerwać oglądanie i przygotować się do udzielenia serwisu mojej załodze. Biegniemy do samochodu. Rozstawiamy stolik, rozkładamy narzędzia, wyciągamy kanistry z benzyną i wodą. Kanapki i napoje, ręcznik i mydło. Czekamy. Ogarnia nas niepokój. Już powinni być. Chyba złapali spóźnienie. Wysyłam Włodka Jędrzejczaka, mechanika z mojego serwisu, z zapasową benzyną za punkt kontroli czasu. Jeżeli spóźnią się do mnie, to Włodek da im benzynę. Jadą. Walą pełnym ogniem. Machamy rękami, wskazujemy miejsce serwisu. Przejeżdżają obok nas i zatrzymują się na PKC. Łapię kanister z wodą i podstawowe klucze. Biegnę 300 metrów. Tam, za strefą, czeka już benzyna. 20 litrów wody, przeniesione biegiem na 300 metrach, powoduje, że mam solidną zadyszkę. Zanim dobiegłem do nich, już podnieśli maskę do góry i coś naprawiają. W sterowaniu czterema gaźnikami wystąpiła usterka. Zapas cięgien, które mieli ze sobą, już zużyli. Dokonujemy prowizorycznej naprawy. Kosmetyka szyb, mycie rąk i dalej, na trasę Umawiamy się, że wrócę do Wrocławia, znajdę takie ciegła i przywiozę na kolejne z nimi spotkanie. Przez 300 kilometrów muszą jakoś dojechać na prowizorce. Teraz dla nich i dla nas zaczyna się wyścig z czasem. Jestem z nimi całym sercem, ich problem jest moim, muszę zrobić wszystko, żeby mogli ukończyć ten rajd.

Pełny gaz do Wrocławia po części...

(c.d.n.)

KAZIMIERZ KOLINKA

NAJDZIWNIEJSZA KSIĘGA AMERYKI

KRZYSZTOF ANDRZEJCZAK

Przeszło trzy miliony w Stanach Zjednoczonych, jeden milion porozrzucany w różnych częściach świata. Europie, Ameryce Południowej, Japonii, Australii, na wyspach Pacyfiku. W roku 1850 było ich tylko pięć tysięcy, po drugiej wojnie światowej milion. Należą do Kościoła Jezusa Chrystusa Współczesnych Świętych, największej zrodzonej na ziemi północnoamerykańskiej organizacji religijnej. Ich szeregi rosną zadziwiająco szybko mimo wzmagającej się krytyki, także wewnątrz kościoła, wątpliwości uczonych i tradycyjnych uprzedzeń. Swoje świątynie zamykają przed innowiercami. W tajemnicy utrzymują swoje obrzędy. Chrzczą zmarłych. Twierdzą, że biblijny Raj znajdował się w Jackson County w stanie Missouri, że Chrystus przebywał i nauczał wśród Indian amerykańskich, i że powróci do USA, by tu, w miejscowości Independence założyć swą stolicę.

Potocznie nazywają się mormonami, sami nazywają siebie „świętymi". W połowie ubiegłego wieku, po latach tułaczki i ucieczek przed niezmiennie wrogo doń nastawionymi społecznościami kilku stanów, osiedli w pustynnej, niezamieszkałej dolinie otoczonej olbrzymimi górami i słonowodnym jeziorem. Mrówczą, świetnie zorganizowaną pracą spowodowali, że pustynia zakwitła, wydała miasto. Powstało Salt Lake City opasane dziś dziesiątkami kilometrów podmiejskich osiedli, ogrodów i terenów uprawnych. Na jego skraju stoi niedawno odnowiony drewniany domek Brighama Younga, jednego z założycieli kościoła. Brunatnoczerwone ściany, białe balustrady, okna, płot. Wokół brak drzew. Wypalona przez słońce trawa. Pomnik tamtych dni.

Człowiekiem, który zdecydował, że należy założyć nowy kościół, a postać Chrystusa połączyć z kontynentem amerykańskim był niejaki **Joseph Smith.** Urodził się w roku 1805, z nazwiskiem i pochodzeniem nie zwiastującymi roli proroka do jakiej miał wkrótce awansować.

Rodzice, ubodzy farmerzy, przenieśli się z chłopcem z Vermont do stanu Nowy Jork i zamieszkali w okolicy miasteczka Palmyra. Liczyli, że na terenach położonych nad nowobudowanym kanałem Erie łatwiej będzie żyć z ziemi. Młody Joseph nie miał ochoty chadzać za pługiem. Wolał obserwować życie w miasteczku, włóczyć się po okolicy, szukać wyśnionych skarbów, przysłuchiwać się starszym. Ci często dyskutowali o kościołach i sektach, bowiem okolica pełna była misjonarzy różnych wyznań organizujących konkurencyjne mityngi. Chłopiec przysłuchiwał się, pilniej zaczął czytać Biblię.

Miał 14 lat, gdy rozmyślając samotnie w lesie nawiedzony został po raz pierwszy. Dowiedział się, że żaden z istniejących kościołów nie jest właściwy, że musi czekać, przygotowywać się do ważnej roli, jaka go czeka. Szczegółów dowie się później. Na następną nadprzyrodzoną wizytę czekał cztery lata. Duch imieniem Moroni poinformował Josepha o konieczności wykonania ważnej misji. Polegała ona na wydobyciu z pobliskiego wzgórza ukrytych tam złotych tablic, a następnie przetłumaczeniu ich treści. Polecenia Moroniego były dokładne. Joseph bez trudu odnalazł ukryty w ziemi kamienny pomnik. Gdy chciał go wyjąć, pojawił się Moroni nakazując czekać jeszcze cztery lata, uczyć się.

Płyty zawierały teksty w „zmodyfikowanym języku egipskim". Ich tłumaczenia dokonał Smith. „Pod natchnieniem Boga", przy pomocy specjalnych przezroczystych kamieni znalezionych wraz z płytami, czytał je, a następnie dyktował tłumaczony na angielski tekst siedzącemu za zasłoną miejscowemu nauczycielowi, Oliverowi Cowdery'emu Po trzech miesiącach tłumaczenie **„Księgi Mormona"** były już zakończone. Smith oddał dzieło do druku. Skończyła się pierwsza, najbardziej sensacyjna, najmniej wiarygodna faza sagi mormonizmu.

„Księga Mormona", najważniejszy dokument Kościoła Współczesnych Świętych ukazała się w roku 1830. Liczy około 500 stron. Dzieli się na 15 części zwanych z jednym wyjątkiem „księgami" i obejmuje 1000 lat historii starożytnej Ameryki. Dwie pierwsze księgi zwane „Księgami Nefiego" mówią o tym, jak Lehi, potomek Józefa sprzedanego przez braci do Egiptu, wraz z żoną i synami, Lamanem, Lemuelem, Samem i Nefim, ich rodzicami i grupą przyjaciół, na rozkaz Boga opuszczają na 600 lat przed Chyrstusem Jerozolimę, miasto skazane na zagładę i na specjalnie zbudowanym okręcie uciekają do „ziemi obiecanej" — kontynentu amerykańskiego. Początkowo żyją tu w dostatku i szczęściu, ale po śmierci Lehiego zwaśnieni synowie dzielą się na dwa obozy. Rozchodzą się w różne strony, tworzą rywalizujące społeczeństwa Nefitów i Lamanitów. Mijają stulecia opisane w kilku następnych księgach. Zbliżają się czasy chrześcijaństwa. Chrystus zostaje ukrzyżowany na drugiej półkuli. Wkrótce potem pojawia się wśród swych „pozostałych owieczek". Przebywa w Ameryce przez wiele dni, leczy chorych, naucza, godzi zwaśnionych. Potem przez dwieście lat kontynent wolny jest od wojen i waśni.

Ale po okresie pokoju następuje ponownie czas krwawych wojen między Nefitami i Lamanitami. We wschodniej części Ameryki Północnej dochodzi do kulminacyjnej bitwy, w której Lamanici pokonują i unicestwiają zacnych Nefitów. Bitwę przeżywa Moroni, syn wielkiego nefickiego proroka i historyka, Mormona, który zebrał utrwalane przez wieki na złotych płytach dzieje swego ludu i ułożył je w jeden tom. Moroni, po dodaniu do dzieła swego ojca własnych wyjaśnień (Księga Moroniego) ukrywa złotą księgę w miejscu tragicznej bitwy, wzgórzu zwanym Cumorah. Przez czternaście wieków będzie ona czekać na swego tłumacza i propagatora, Josepha Smitha.

Wzgórza Cumorah, odległego o kilka kilometrów od Palmyry, koło którego mieszkał Smith, nie trudno odszukać. Jadąc autostradą stanową nr 90, prowadzącą do Buffalo, należy koło miejscowości Manchester zjechać w lewo. Na niezbyt wysokim, na flankach porośniętym świerkami, wzgórzu olbrzymi napis: **Cumorah.** Na szczycie biały obelisk z postacią w długiej szacie; prorok Moroni podnosi rękę w obwieszczającym geście.

Niezwykłe to wzgórze powinno zawierać szczątki niezliczonej ilości broni i ludzkich kości. Nikt tu ich jednak nie znalazł i, co ciekawsze, nie szuka. Kościół mormonów nie interesuje się badaniami archeologicznymi mogącym, gdyby były pozytywne, dać jego doktrynom naukowe podpórki. Rękopis „Księgi Mormona" nie został też poddany badaniom ekspertów. Adwersarze Kościoła Współczesnych Świętych twierdzą, że został on oparty na manuskrypcie pewnej starej powieści, którą przerobił nie Smith, ale niejaki Sidney Rigdon.

Mormoni powołują się natomiast na dowody naukowe innego typu. Przypominają, gdzie się da, na przykład we wstępie do „Księgi Mormona", że Ameryka, szczególnie środkowa, pełna jest pomników dawnych kultur Indian.. To właśnie Indianie amerykańscy, twierdzą mormoni, są potomkami zwycięskich, ale niepos-łusznych Bogu Lamanitów. Ich budowle i formy życia ulegały stałemu upadkowi. Nawet Inkowie i Aztecy nie stworzyli cywilizacji dorównującej świetności ich nefickich poprzedników. Czy są dowody, że Indianie amerykańscy pisali na złotych płytach? Nie, ale między innymi w Meksyku znaleziono złote płyty bez napisów, a odkryta w Iranie w 1961 roku złota tablica z okresu Dariusza II (IV wiek p.n.e.) posiada układ wyrytych nań liter i rozmiary zbliżone do płyt, które jeśli wierzyć Smithowi, zawierały tekst „Księgi Mormona".

Gdy „Księga Mormona" była już wydrukowana, 24-letni Joseph Smith, pouczony kolejnym objawieniem przystąpił do założenia „prawdziwego kościoła". Sam stanął na jego czele. Inauguracyjne zebranie urządzono w prywatnym domu w miejscowości **Fayette** w stanie Nowy Jork 150 lat temu, **6 kwietnia 1830 roku.** Wkrótce potem pierwsi misjonarze zaczęli roznosić po Ameryce wieść o nowym, „odrodzonym" kościele.

Smith zdobywa wkrótce liczne grono zwolenników. Jednocześnie nasilają się ataki na jego organizację. Mormoni przenoszą się ze stanu Nowy Jork do Ohio, potem do Missouri, krainy wtedy jeszcze kresowej. Kupują ziemię, zakładają domy. Znów otacza ich niechęć i nieufność tubylców, którzy na dodatek nie podzielają antyniewolniczych sentymentów mormonów. Wybuchają starcia, przychodzi polecenie opuszczenia stanu. **W 1839 przenoszą się do Illinois.** Nad Mississippi kupują kilkaset akrów niezamieszkałych terenów. Zakładają własną odrębną osadę, którą nazywają **Nauvoo** (w języku hebrajskim „piękni"). W ciągu krótkiego czasu tytaniczną pracą zmieniają nizinne malaryczne pustkowie w najokazalsze i największe w całym stanie miasto (Chicago dopiero powstawało). Dzięki liberalnym przepisom finansowym uzyskanym od władz stanowych szybko stają się zamożni i niezależni. W centrum miasta budują świątynię — giganta.

W czerwcu 1844 r. dochodzi do poważnego sporu między dwoma patrycjuszami miasta i jego pierwszym obywatelem „Prorokiem, Królem Królestwa Bożego", Josephem Smithem. Oskarżono go o nieuczciwe operowanie pieniędzmi kościelnymi oraz, co stanowi zarzewie sporu, proponowanie żonom obu panów zawarcia „duchowego związku". O licznej już kolekcji żon Smitha od dawna szeptano w Nauvoo, ale nikt nie śmiał głośno oskarżać o to wodza, także dowódcę dobrze uzbrojonego 4-tysięcznego Legionu Nauvoo.

Mieszkańcy sąsiednich miast **Carthage i Warsav** (Warszawy) zazdrośnie patrzyli na rosnące w potęgę Nauvoo, w którym odbywały się huczne parady Legionu, panowała poligamia i działo się wiele innych tajemniczych spraw. Na wieść o publicznym oskarżeniu Smitha przez jego własnych wyznawców gazeta „Sygnał Warszawski" rzuca hasło rozprawy z mormonami. Mężczyźni z gwardii stanowej bez oficjalnego rozkazu zgłaszają się do swoich oddziałów. By zapobiec rozruchom do Carthage przybywa gubernator stanowy. Wzywa Smitha by przed sądem odpowiedział na stawiane mu zarzuty. Ten początkowo opuszcza Nauvoo, ale za namową brata, wraz z nim i dwoma przyjaciółmi przybywa do Carthage, gdzie zostaje osadzony w więzieniu. Gdy gubernator niespodziewanie opuszcza Carthage, miejscowe oddziały gwardii i motłoch wdzierają się do celi. Smith walczy, strzelając przemyconym pistoletem, potem wyskakuje przez okno. Tu czeka nań spragniony linczu tłum.

Wyznawcy Smitha nie mają wątpliwości, że dla ratowania swych przekonań i życia znów będą musieli przenieść się do innej części kraju. Przyjmują ten los ze spokojem i godnością, w tułaczce i znoszeniu prześladowań dopatrują się części swojego posłannictwa. Jak purytanie z Nowej Anglii mają w sobie sporo religijnego masochizmu. Od dawna myśleli o przeniesieniu się na zachód kraju. Sam Smith rozważał możliwość zbudowania przyszłego miasta — państwa, gdzieś na rozległych terenach, położonych za Górami Skalistymi. Wysłał tam nawet zwiadowców. Następca Smitha, 43-letni **Brigham Young,** wydaje polecenie opuszczenia miasta, któremu odebrano teraz dawniej przyznane przywileje. Przygotowania do ewakuacji miasta dalekie są od pośpiechu i nieładu. Mormoni postanawiają ukończyć budowę monumentalnej świątyni, by w niej dokonać uroczystych święceń będących obwieszczeniem misji, aktem obdarzenia.

Wyruszyli w środku zimy, w **lutym 1846 roku.** Wozy, kryte półkolistymi brezentowymi dachami, jeden za drugim zjeżdżały ku, szerokiej tu na milę, Mississippi. Po przeprawieniu się posuwano się na zachód, w kierunku Missouri. Potem wzdłuż rzeki Platte ku Górom Skalistym. Warunki podróżowania były trudne. Brakowało paszy dla bydła, części zapasowych do wozów, dokuczały mrozy i śnieżyce. Potem nastąpiły długotrwałe deszcze. Wozy i zwierzęta grzęzły w błocie. Posuwano się tylko kilka kilometrów dziennie. Niejedną noc spędzano bez ognisk, wszystko było zbyt mokre by się palić. Zwiększała się liczba chorych, nawet najsilniejsi zapadali na zdrowiu i tracili powszechną początkowo nadzieję.

Zimę 1846 roku mormoni postanowili przeczekać nad Missouri, która wtedy była granicą terenów, które rząd Stanów Zjednoczonych rezerwował dla Indian. Białych było tu niewielu, kręcili się wędrowni kupcy, agenci handlowi, misjonarze. Nie czekając na odpowiedź Federalnego Biura do Spraw Indian, Young rozbija obóz na zachodnim brzegu rzeki, będącym już terenem Indian. Wódz szczepu Omaha zezwala mormonom na dwuletni pobyt w jego krainie.

Ta zima nad Missouri mimo doskonałej organizacji i współpracy wielotysięcznej grupy ludzi była wyjątkowo ciężka. Namioty i ziemianki nie chroniły przed mrozami. Brakowało wyżywienia i odzieży, srożyły się choroby. Kilkuset mormonów nie przetrwało jej. Ich groby wypełniają czyściutko utrzymany cmentarz na wzgórzu koło miejscowości Florence w Nebrasce.

(c.d.n.)

TOM I INNI

cent studentów uczy się z dala od domów rodzicielskich. Odwiedzają rodziców przy okazji świąt. Czasem wpadną podczas wakacji. Od czasu do czasu napiszą list. Więzi między rodzicami a studiującymi dziećmi, nawet uwzględniając angielską powściągliwość, są zdecydowanie chłodne.

— *Mogłabym rozmawiać ze swymi rodzicami nawet na bardzo osobiste tematy* — zwierza się Susan — *ale nie czuję potrzeby.*

Moi rozmówcy mają po dwoje, troje rodzeństwa, ale stosunki z siostrami i braćmi układają się podobnie, jak z rodzicami. Sami również planują rodziny złożone z dwojga lub trojga dzieci.

— *Muszę podjąć decyzję dziś w nocy* — deklaruje Tom spoglądając znacząco na Clare.

— *Nie ma obawy, nie podejmie* — wyjaśnia dziewczyna. — *Nasi rówieśnicy żenią się dopiero po kilku latach wspólnego mieszkania. Jesteśmy razem dopiero półtora roku*

Wszyscy troje studiowali w Sheffield. Część pieniędzy na utrzymanie dostawali od rodziców, część zarabiali sami, otrzymywali także zasiłki i stypendia z uczelni. Powszechnie przyjęta jest praca podczas wakacji. Często wyjeżdżali w lecie na południe Europy, miesiąc, dwa pracowali, a trzeci podróżowali po Hiszpanii czy Grecji. Każdy student automatycznie zostawał członkiem narodowego związku studentów Zjednoczonego Królestwa. Związek prowadzi tanie bufety, sprzedaje ulgowe bilety do kin i teatrów, wypożycza sprzęt sportowy, pomaga wynająć pokój przy rodzinie lub w studenckim hotelu.

— *Czy kontakty między brytyjskimi wykładowcami, a studentami są rzeczywiście tak bezpośrednie i przyjacielskie, jak słyszymy o tym w Polsce?* — pytam.

— *Nie mamy skali porównawczej, nie byliśmy w polskiej uczelni* — odpowiadają. — *Faktem jest, że stosunki te są rzeczywiście bliskie i bezpośrednie. Często jesteśmy bardzo związani z naszymi tutorami, którzy kierują naszą indywidualną pracą. Mamy dużo okazji do wykazania się samodzielnością, zarówno w doborze studiowanych przedmiotów, jak i wymiany poglądów. Student może na przykład pokonać profesora w dyskusji, jeśli ma tylko argumenty.*

— *A czym interesują się studenci?*

Tom i Susan zastanawiają się przez chwilę.

— *Przede wszystkim szukają dobrej, taniej i łatwej rozrywki. Lubią muzykę i alkohol. Nie przepadają za polityką. Większość nie zdaje sobie sprawy ze złożoności problemów społecznych. Wszystkich natomiast łączy pogardliwy stosunek do pani Thatcher. Zdecydowanie jej nie lubią. I mają za co, skoro już ograniczyła fundusze na stypendia i zasiłki, a kolejne posunięcia pani premier zdecydowanie nie pomagają szkolnictwu. Na posadę nauczyciela czeka się teraz w Wielkiej Brytanii przeciętnie dwa lata. A konkurencja jest coraz większa. Młodzi nauczyciele opuszczają więc coraz częściej wyspę, aby uczyć cudzoziemców angielskiego. Znajdują pracę na całym świecie: w uczelniach, w szkołach, na kursach. Jeszcze są pewni, jeszcze nie muszą pozyskiwać uczniów, jak Francuzi, którzy w swych językowych i kulturowych wpływach słusznie czują się zagrożeni.*

Wizyta dobiega końca. Gospodarze pytają jeszcze o prestiż nauczyciela w Polsce i o zarobki. Tutaj zarabiają od 3.500 do 4.000 funtów rocznie. Łatwo obliczyć, ile wynosi to miesięcznie i tygodniowo. Dla porównania, zarządzająca hotelem otrzymuje 3.800 funtów rocznie.

Susan i Clare jeszcze nie wiedzą, co zrobią z wakacjami. Jutro przejrzą, co oferują biura podróży. Wszelkie wycieczki są tu znakomicie zorganizowane. Wystarczy zatelefonować i zarezerwować miejsce. Życzę słonecznego urlopu. Na ulicy znów pada. Starsza pani przede mną zdejmuje przemoczone pantofle i boso paraduje po chodniku. Młody chłopak na rogu głośno krzyczy przez tubę, co myśli o proponowanej podwyżce cen biletów w metro. Obok jakaś para namiętnie się całuje.

— *Widzisz* — komentuje Tom, który jedzie ze mną do centrum. — *Mamy naprawdę wolny kraj. Każdy robi to, co mu się podoba.*

MAŁGORZATA GOLICKA

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

CZAS WOLNY NA REFLEKSJE

Gdyby nie fakt, że już ponad dziesięć lat piszę te felietony „Widoka" pod wspólnym tytułem „Zdarzenia i zwierzenia" — zmieniłbym dziś ów tytuł na — powiedzmy — „Czas wolny". Ludziom pióra przestrzeń życiowa się zmniejszyła — gazety schudły — pozostało więcej czasu wolnego na głębsze przemyślenia. Może to i lepiej, choć nie taki był zamysł owej operacji. I efekty owych — gorzkich niestety — przemyśleń, nie będą takie, jakich się, być może, spodziewano.

Czytam „Życie Literackie" (pełnych 20 kolumn druku), a w nim felieton Olgierda Terleckiego. „Tylko w Krakowie — pisze Terlecki — może Machejek szefować od trzydziestu lat temu samému czasopismu... Tylko w Krakowie niżej podpisany — rzecze Terlecki — mógł w swych felietonikach opowiadać głodne kawałki przez, jak dotąd, dwadzieścia dwa lata, bez przerwy...".

Gdzie indziej bywa inaczej. Na przykład w Ameryce... Tam jak się zmienia kolejna administracja — wywala na zbity pysk doświadczonych fachowców, żeby obsadzić stanowiska „swoimi ludźmi". W Ameryce co prawda nie byłem, ale czytam prasę codzienną.

Słucham także i oglądam telewizję. Dyrektor warszawskiego „Domu Książki" mówiąc dzięki niej do milionów ma niejakie kłopoty ze zbudowaniem poprawnego zdania w ojczystym języku. Kiermasze mają — zdaniem dyrektora — „bliżej przybliżyć" książkę do czytelnika, co pan Zahorodny, nie zważając na śmieszność takich sformułowań, podkreślił kilka razy.

Pan dyrektor Zahorodny mówił nie tylko kulawo, ale i nielogicznie. Książkę do czytelnika „przybliżają bliżej" nie kiermasze akurat, lecz dobrze zaopatrzona sieć księgarska. Jak te sprawy wyglądają naprawdę — wszyscy wiemy.

Czas wolny ma swoje niezaprzeczalne walory. Pozwala na bardzo różne przemyślenia, na weryfikację różnych spraw i ocen — pozwala także rozwijać szerszą działalność w zakresie załatwiania sprawunków. Ostatnio śledzę postępy trwającego od ubiegłego roku druku „Dzieł zebranych" K. I. Gałczyńskiego. Prowadzę także ożywioną działalność w sprawie załatwienia w księgarni „wydania sejmowego" dzieł Jana Kochanowskiego.

Centralne władze polskiej kultury zapowiadają otwarcie tzw. „wystawy wstydu" — ekspozycji książek wydanych niepotrzebnie. Bardzo to słuszna inicjatywa, ale wystawy nie obejrzę. Wiem bowiem czego tam nie zobaczę. A w ogóle, to co mianowicie ma oznaczać określenie „wystawa wstydu"? Kto ma się wstydzić, za wydawanie bzdur i cegieł?

Niedawno w 150 tysiącach egzemplarzy wydano „kryminał" p. Barbary Gordon, pt. „Dolina nocy". Jest to „dolina" leżąca tak nisko, że już od spodu nikt nie zapuka. Czarnym charakterem jest tam — oczywiście, oczywiście — literat. Ów literat jest zboczeńcem, alkoholikiem i abnegatem moralnym. Brakuje tylko tego, żeby był agentem obcego mocarstwa.

Czy „Dolina nocy" znajdzie się na „wystawie wstydu"? I kta ma się za tę bzdurę wstydzić oprócz autorki, dyrektora „Iskier" i redaktora, który nam ten kwiatek zaoferował?

Czas wolny jest również czasem na refleksję o pisarzach, którzy odeszli na zawsze. Niestety, mam wrażenie, że odeszły także ich książki. Nieosiągalna jest dziś — poza bibliotekami — wspaniała proza Stanisława Dygata, wiersze Hanny Poświatowskiej, szkice literackie Tadeusza Mikulskiego... Tę listę można by ciągnąć w nieskończoność. Tych książek nie ma na wystawie księgarni — ich nieobecność jest również miarą wstydu...

W potopie wątpliwej wartości wznowień przepadają nam książki, których brak odczuwać będziemy coraz dotkliwiej.

WIDOK

SPORT

PIERWSZE ROZCZAROWANIA PIERWSZE MEDALE

Ciągle jeszcze mam przed oczyma przepiękne widowisko, jakim było otwarcie XXII Igrzysk Olimpijskich w Moskwie, a tu już nasuwa się olbrzymi kalejdoskop nowych wrażeń. Tym razem sportowych, a nie artystycznych. Bo przecież olimpiada to wielkie, przepiękne święto sportu. Święto zawodników i kibiców sportowych. Ogromna dawka przeżyć. Osiem godzin telewizyjnych transmisji każdego dnia. I choć nie każdy ma możliwość obserwowania imprez olimpijskich przez całe osiem godzin, to przecież każdą wolną chwilę spędzamy przed telewizorami lub słuchamy radiowych sprawozdań ze sportowej Moskwy. A trzeba przyznać, że transmisje telewizyjne robione są na wysokim poziomie. Kibic siedzący przed telewizorem ma pełny przegląd tego, co dzieje się na różnych stadionach, boiskach, torach, matach, planszach. Szybko dowiaduje się, gdzie startowali nasi olimpijczycy i jakie osiągnęli wyniki.

Z wynikami, na razie, jest, niestety, gorzej niż spodziewaliśmy się, gorzej niż nam obiecywano. Od dawna już wiadomo, że zapewnienia trenerów i zawodników są wielekroć tylko ich marzeniami o formie i sukcesach, ale mimo wszystko można było sądzić, że tym razem do igrzysk olimpijskich ekipa nasza przygotuje się dobrze. Było na to sporo czasu i były na to dobre warunki. Po trzech dniach zawodów mamy dopiero brązowe medale ciężarowców. Również Roman Bierła jest pewnym kandydatem na medalistę, choć akurat na niego specjalnie nie liczono.

W zapasach liczono przede wszystkim na braci, Józefa i Kazimierza Lipieni, liczono na brązowego medalistę z mistrzostw świata, Romana Kierpacza, ale przeciwnik rzucił go na matę już w pierwszej minucie walki i wygrał. Faworyci okazali się bez formy. Może dlatego, że byli faworytami i liczyli w duchu na pewne i łatwe zwycięstwo.

Do Moskwy po łatwe zwycięstwo jechał też pięcioboista, Janusz Peciak. Tak przynajmniej zapewniał przed odlotem. Mówił, że jedzie po medal. Walka w pięcioboju nowoczesnym jeszcze naprawdę trwa, ale też i pozycja Janusza Peciaka nie jest najlepsza. W zasadzie — jak to się często mówi — jest już poza strefą medalową. Nie powiodło mu się w szermierce, nie powiodło mu się w strzelaniu. Również i tu lepszym od Janusza Peciaka, zresztą medalisty z poprzedniej olimpiady, jest mistrz Polski, Marek Bajan. Nieźle spisywał się w niektórych konkurencjach Jan Olesiński. Po trzech dniach walki w pięcioboju nowoczesnym strata polskiej drużyny do czołówki jest znaczna i praktycznie wyklucza zdobycie medalu.

Nie spisali się też kolarze. Wszyscy liczyli na medal w jeździe drużynowej na 100 km, przynajmniej na brązowy, jeśli już nie na utrzymanie pozycji z Montrealu. Ale i to się nie udało. Zespół radziecki okazał się bezkonkurencyjny. Kolarze NRD (złoty medal na poprzedniej olimpiadzie) zdobycie srebrnego medalu w Moskwie potraktowali jako totalną klęskę. Od nas lepsi okazali się również kolarze CSRS.

O tym, że w naszym kolarstwie nie dzieje się najlepiej miałam już, niestety, okazję pisać niejeden raz. Tegoroczny Wyścig Pokoju trenerzy nasi potraktowali lekko, uznając, że udział przyszłych olimpijczyków w tej imprezie nie przyniesie im nic dobrego. W ten sposób nie uzyskaliśmy ani dobrych rezultatów w Wyścigu Pokoju, ani na olimpijskiej szosie. Do jednej i drugiej imprezy nasi kolarze wystartowali niewłaściwie przygotowani. Już w trakcie wyścigu w Moskwie Krzysztof Sujka, rezerwowy kolarz, zdradził w tajemnicy Krzysztofowi Wyrzykowskiemu, relacjonującemu ten wyścig, że nasza drużyna dysponuje „techniczną niespodzianką", która powinna im przynieść sukces. Ale i to nie pomogło.

Drużyna olimpijska, wytypowana do jazdy na 100 km, wystartowała w mistrzostwach Polski, ale wyścigu nie ukończyła, za co została zdyskwalifikowana. Od 1 sierpnia do 14 sierpnia 1980 roku nie wolno im startować. Sprytnie to pomyślane. Tylko po co, jeśli metody przygotowania naszych kolarskich reprezentantów od dawna uczą unikania niektórych startów. Po co więc karać za to, czego uczą trenerzy?

Na naszym sporcie mści się zarozumialstwo. Każdy dobry wynik jest tak długo fetowany, że zapomina się, iż inni w tym czasie nie śpią, że trenują że też chcą zwyciężać. I to im się udaje. My w tym czasie ciągle obracamy się w blasku osiągniętego sukcesu, zamiast szybko szykować się do zdobycia nowych, dobrych rezultatów. Na olimpijskich boiskach i stadionach widać, jak daleko poszli inni, a jak rozmieniliśmy się my. Na przykład nasza drużyna piłki ręcznej zbyt wiele jeszcze popełnia błędów, a przecież broni medalu brązowego i powinna sięgać przynajmniej po srebrny. Być może rozegra się w dalszych spotkaniach, ale czy przypadkiem nie mści się tutaj zbyt małe obycie na zagranicznych boiskach?

Dobrze spisują się natomiast siatkarze, choć oglądanie ich walki może niejednego kibica doprowadzić do palpitacji serca. Jest to gra na krawędzi klęski, ale — jak za dawnych lat — siatkarze jakoś z tego wychodzą i jak do tej pory pokonali drużyny Jugosławii i Rumunii. Oby tak dalej.

W czwartek wystartują lekkoatleci. Może będzie lepiej.

BOGDA MADEJ

DESZCZ

Kiedyś rozmowy o pogodzie należały do najbezpieczniejszych. Rodzice pouczali swoje pociechy, wyposażając je w wiedzę życiową, że jak nie ma o czym, lub jak nie chce się wypowiadać w ważnych sprawach politycznych, społecznych, gospodarczych, to najlepiej o pogodzie. Ale ta mądrość życiowa dziś już jest nieaktualna. Dziś i o pogodzie niebezpiecznie rozmawiać.

Pamiętam takie czasy, niezbyt przecież odległe, kiedy dumni byliśmy z tego, że zmieniamy przyrodę, opanowujemy żywioły, sadzimy pasy leśne, które miały powstrzymywać wysuszające wiatry i zmienić klimat tu i ówdzie. Była to świadoma ingerencja w przyrodę, zmierzająca do wprowadzenia takich u niej zmian, które byłyby korzystne dla człowieka. Ale z działalności tej nic nie wyszło. Natomiast człowiek nadal ingeruje w przyrodę, ale są to już zmiany dla nas niekorzystne.

Poplątało się wszystko dokładnie i dziś nic już nie wiadomo, kiedy jest lato, jesień, wiosna czy zima. Zimy bywają ciepłe, zupełnie bez śniegu, śniegi padają natomiast wiosną i jesienią, latem deszcz leje bez opamiętania. U nas, naturalnie, bo w Ameryce Północnej i Środkowej są straszliwe upały. Liczba ofiar dawno już przekroczyła siedemset. Meksykanie oskarżyli nawet Amerykanów, że panujące u nich katastrofalne susze spowodowane są amerykańskimi próbami nuklearnymi. Ale dla nas to nic nowego. U nas Kazimierz Grześkowiak wiele lat temu już śpiewał, że „wszystko przez atomy".

Nie ulega wątpliwości, że anomalie pogody mają na ogół charakter katastrofalny. U nas katastrofalne deszcze. Takie same deszcze przeszły wiosną przez Bałkany. Na drugiej półkuli katastrofalne upały. U nas raczej chłodno. Tam potwornie gorąco. Skutki tu i tu są katastrofalne. A meteorolodzy ciągle nam opowiadają, że takich deszczów nie było od 150 albo 200 lat. Mała z tego pociecha. Poza tym zaczyna to być denerwujące. Nikt nie oczekuje od meteorologów, że powiedzą, co zrobić, aby zahamować opady lub odsunąć suszę, ale każdy z nas oczekuje, że przynajmniej będą próbowali powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. A tu nic z tego. Pod wodą mamy 1 200 tysięcy ha użytków rolnych. Część z tego może da się uratować, część trzeba będzie zaorać. Prognoza dla gospodarki żywnościowej nie jest optymistyczna.

Adam Hollanek pisząc w „Trybunie Ludu" o anomaliach klimatu, stwierdził między innymi: „I trudno dziś jeszcze powiedzieć w jakim kierunku pójdą zmiany klimatu, powodowane przez działalność człowieka. Nie ulega wątpliwości wyraźny wpływ tej działalności na klimat". Ale to już wiemy. Wiemy, że rocznie biosferę atakuje 450 miliardów metrów sześciennych odpadów przemysłowych, że oczyszczenie biosfery z tego świństwa wymaga około 60 razy więcej wody czystej niż to było potrzebne do niedawna. Wiemy również, że uczeni spierają się o skutki gwałtownego rozwoju naszej cywilizacji i jej niszczycielskiego wpływu na naturę. Co my jednak będziemy mieli z tego sporu?

Natura zdaje się dawać nam lekcję pokory. Przez tysiące lat kształtowała się na planecie Ziemi równowaga. Do połowy XIX wieku człowiek naruszał tę równowagę sporadycznie i w niewielkich rozmiarach. Jak dziś śmiesznie brzmią dla nas obawy Anglików z pierwszej połowy XIX wieku, którzy po udanych próbach S. Stephensona, twórcy parowozu „Rocket" i kolei, obawiali się, że dym z parowozów zatruje atmosferę i krowom odbierze mleko. Dziś tysiące kominów fabrycznych wyrzuca w przestrzeń miliony ton pyłu, a pola obsypuje się i opryskuje chemicznymi świństwami, które skutecznie trują owady i ludzi. Z tą tylko różnicą, że ludzi trują powolutku, a owady gwałtownie.

Wołania tych, którzy chcieliby ochronić przyrodę, nasze naturalne środowisko brzmią, jak przysłowiowe głosy wołających na pustyni. I pustyni niedługo się doczekamy, choć niektórzy uczeni optymiści spodziewają się, że w naszej szerokości geograficznej niedługo dojrzewać będą pomarańcze. Tylko nikt nie wie, czy to będzie dobrze, czy źle. Dojrzewające pomarańcze, to nawet brzmi zachęcająco, ale z drugiej strony podniesienie się temperatury w strefie (niegdyś) umiarkowanej doprowadzi do topnienia lodów na biegunach. I masz babo placek.

Wszelkie gwałtowne zwiększanie tempa przemian musi liczyć się z określonymi i obiektywnymi warunkami. Jeśli warunki te naruszy, to nieuchronnie doprowadzi do zachwiania istniejącej poprzednio równowagi. A zachwianie równowagi, gdzie by to nie było, prowadzi do różnych, nieprzewidzianych skutków. Przede wszystkich w przyrodzie, bo tu wyzwala się takie siły, których już później nikt nie jest w stanie opanować. Bo przy całej naszej zarozumiałości nad żywiołami jeszcze nie potrafimy panować. I warto to sobie przy okazji padających deszczów uświadomić.

MARCIN RODAK

1/3 mini magazynek

Gdański sposób

W Gdańsku WSS „Społem" wpadło na zmyślny pomysł. Zaproponowano kierownikom i ekspedientkom sklepów aby sami przeprowadzali malowanie lokalu. Pomysł okazał się rewelacyjny. Malowanie przy pomocy mężów, żon i znajomych trwało góra trzy dni zamiast dwóch miesięcy. Coraz więcej kierowników sklepów decyduje się na takie samodzielne przeprowadzenie malowania i małego remontu.

Teraz należy oczekiwać, że również inni wezmą przykład z gdańskich handlowców. Swoje lokale zaczną sami remontować urzędnicy, kolejarze, pocztowcy i tak dalej, i tak dalej.

A czy nie byłoby prościej, aby każdy robił dobrze i szybko to, co do niego należy i do czego został powołany?

R. E. Montowiec

I CO DALEJ?

Na łamach „Życia Gospodarczego" wynikł spór. Paweł Kapuściński w felietonie: „Nie przesadzajmy, koledzy" zarzucił kolegom z telewizji, a konkretnie z „Dziennika Telewizyjnego", że „poszli dalej" i wymyśloną przez niego fermę z 560 krowami skazaną na straty przez wyciekające mleko z foliowych opakowań podnieśli do 2.000 krów. Rzeczywiście przesadzili.

Zarzucił też Maciejowi Kledzikowi z „Polityki", że podane przez siebie szacunkowe pogłowie psów w Polsce z liczby 4.5 miliona sztuk podniósł do liczby 7 milionów sztuk. I tak dobrze, gdyż znając nasze metody „robienia statystyki" liczba psów mogła urosnąć do 9 milionów sztuk.

A w ogóle to poniektórym publicystom zaczyna jakby świtać wątpliwość, czy przypadkiem nie ma u nas zbyt wiele psów i kotów. Tak jest. Wyrżnąć wszystkie psy, koty, kanarki, papugi, świnki morskie króliki i co tam kto jeszcze hoduje z gołębiami włącznie.

A następnie zastanowić się, czy przypadkiem nie posiadamy za dużo książek, może by tak coś spalić. Ile by się ludzi mogło przy takim paleniu ogrzać.

CZYTELNIK

Doczekali się

„Express Ilustrowany" bezlitośnie piętnował złodziei i łobuzów, a także dawał Czytelnikom do rozwiązania „Zagadki kryminalne". Czytelnicy tak się tym przejęli, szczególnie młodociani, że... okradli redakcję. Przy okazji okradli też Klub Dziennikarza.

Milicja na szczęście szybko ujęła złodziei.

N. N.

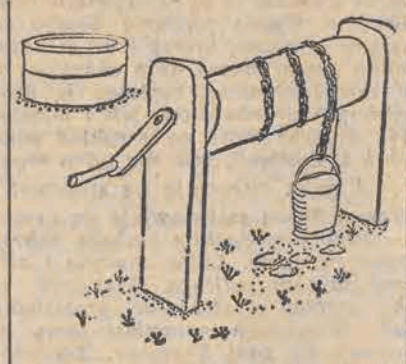

Rys. Walerian Domański

TEN SPRAWIEDLIWY

Bogusław Kukuć opublikował w „Głosie Robotniczym" artykuł pt. „Nie szukajmy dziur w całym", w którym to artykule śmiało i bezkompromisowo rozprawił się ze sportową felietonistyką. Dostało się krakowskiemu pismu „Tempo", dostało się tygodnikowi „Piłka Nożna". Nawet „Kultury" i red. Bohdana Tomaszewskiego Bogusław Kukuć nie oszczędził. Aby jego dzieło miało pozory obiektywizmu, odwagi i głębi, powołał się na „Psychologię plotki" Klausa Thiele-Dohrmanna i na wypowiedź Wiktora Junoszy Dąbrowskiego z książki Bogdana Tuszyńskiego „Sprintem przez prasę sportową".

Aliści w miarę pisania bezkompromisowego artykułu odwaga Bogusława Kukucia opuszczała. A na koniec zupełnie go opuściła. Gdyby bowiem tak nie było, to odważny autor nie zawahałby i napisał z imienia i nazwiska tych podleców, którzy „dmuchali w ogień „sprawy amsterdamskiej", a na dodatek jeszcze bardziej bezczelni „mają książkę Tuszyńskiego na półce nawet z dedykacją autora, ale przecież nie ma obowiązku jej czytania". I nie czytają. Wszyscy, którzy mają książkę B. Tuszyńskiego pobiegli do półki, aby zobaczyć, czy nie ma tam dedykacji.

Odważny Bogusław Kukuć oskarżył na koniec piszących o sporcie o „małą ludzką zawiść", o „zazdrość o te żałony na „Łady", przyśpieszone zamiany mieszkań czy kafelkowanie mieszkań", a także o inne brzydkie rzeczy. Na dziennikarzy sportowych padł blady strach. Bezkompromisowy Bogusław Kukuć każdego mógł mieć przecież na myśli.

K. I. Bic

Szybkie mycie szyb

We Wrocławiu wielkie oburzenie wywołał sposób, w jaki pracownicy Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego przystąpili do mycia szyb w wybudowanych przez siebie pawilonach przeznaczonych dla handlu i usług. Grube, solidne szyby myto. Cienkie i bardzo brudne — po prostu tłuczono i wstawiano nowe.

Jest to sposób bardzo prosty, nie absorbujący zbytnio sił, choć wymagający wielkiej ilości szkła.

Ale kto by się tam martwił takim drobiazgiem. Jest to poza tym sposób stosowany nie tylko we Wrocławiu.

S. Z. Peracz

WAŻNE DLA TURYSTÓW

W Szwecji naukowcy z uniwersytetu w Lund daremnie poszukują pcheł niezbędnych im do badań naukowych. Ogłosili nawet w gazetach, że chętnie kupą takie pchły. Ale ich oferta pozostała bez odpowiedzi. Albo w Szwecji już nie ma pcheł, albo Szwedom nie chce się ich łapać i sprzedawać naukowcom z Lund.

Tymczasem oferta powyższa może zainteresować naszych turystów, którzy chętnie i licznie wyruszają na północ w poszukiwaniu różnorakich zarobków. Na fundamentalne pytanie wszystkich wybierających się za granicę: — co tam idzie? — proponujemy w wypadku Szwecji odpowiadać — pchły.

Glob Troter

OBY!

„Poszukuję pokoju na cichą działalność" — ogłasza się ktoś w „Głosie Robotniczym".

Życzymy, aby owoce tej działalności nie były zbyt głośne.

ŻYCZLIWY

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy": al. Mickiewicza 11; kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Warunki prenumeraty: miesięcznie — 12 zł, kwartalnie — 36 zł.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch", Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu: 26762. Zam. 1648. G-2.